czas. 25.52/1982/15

Urszula Kasprzak Fot. Jacek Mirosław

Czy w „Motorze" zostało pogorzelisko?

str. 12

Mówi Urszula Kasprzak: *„Dziewczyny są strasznie nudne głupie i naiwne"*

str. 9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Rok założenia 1933

kamena

NR 15 (761) 24 października - 6 listopada 1982 CENA 10 ZŁ

Ignacy Gogolewski:

Polaków cechuje poczucie prowincjonalizmu

Fot. Waldemar Stępień

— Nowy sezon teatralny rozpoczęliście premierą „Madame Sans-Gêne". Co dalej? — zwracam się do Ignacego Gogolewskiego, dyrektora Teatru im. Osterwy w Lublinie

— Niebawem wystawimy „Ambasadora" Mrożka na małej scenie i równolegle będziemy prowadzić próby „Szewców" Stanisława Ignacego Witkiewicza. To jest zasadniczy nurt poszukiwań repertuarowych. W dalszych planach mamy przedstawienie „Szelmostw Skapena" Moliera, no i oczywiście nie może zabraknąć nieśmiertelnego Fredry. Pragnęlibyśmy, aby również był obecny na scenie „Fantazy" Słowackiego.

— Wydaje mi się, że pan już kiedyś zajmował się tą sztuką.

— Reżyseria „Fantazego" była moją pracą dyplomową w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, ale chciałbym jeszcze do niej wrócić z całkiem nowym spojrzeniem.

— Jak pan stwierdził, „Szewcy" należą do głównego nurtu poszukiwań repertuarowych. O ile dobrze pamiętam, będzie to trzecia premiera sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza na lubelskiej scenie. Pierwszym było przedstawienie „Wariata i zakonnicy", wyreżyserowane przez Józefa Jasielskiego w 1976 roku, drugim „Matwa", wystawiona w roku ubiegłym w reżyserii Romana Kruczkowskiego.

Dokończenie na str. 8

Jak awansować kadry naukowo-dydaktyczne?

Romuald Poliński

GŁÓWNĄ barierą hamującą rozwój nauki i realizację zadań dydaktyczno-wychowawczych szkolnictwa wyższego w naszym kraju jest konserwatyzm polityki kadrowej. Zmianom w społecznej funkcji nauki i szkolnictwa wyższego towarzyszy stagnacja w metodach i formach rozwijania i awansowania kadr naukowych i dydaktycznych. W wyniku tego pogłębiają się dysproporcje pomiędzy wzrastającym zapotrzebowaniem na kadrę naukową, szczególnie tzw. samodzielną, a możliwościami zaspokojenia tego zapotrzebowania. Potrzeby społeczne i gospodarcze stwarzają konieczność nowych rozwiązań w zakresie polityki władz wobec kadr naukowych i dydaktycznych, przezwyciężenia formalizmu i biurokratyzmu w tej dziedzinie.

Droga awansowania pracowników nauki jest zbyt długa i usiana formalnymi w istocie rzeczy testami. Liczba stopni i tytułów naukowych jest zbyt duża i przypomina feudalną hierarchię. Ukierunkowuje to uwagę i energię kadr naukowo-dydaktycznych na zdobywanie stopni i tytułów naukowych, co staje się celem samym w sobie. Natomiast praktyczne rezultaty działalności wielu instytutów naukowych i naukowo-dydaktycznych są zbyt nikłe.

Obecnie coraz otwarciej neguje się potrzebę istnienia wyższego stopnia naukowego ponad stopień doktora nauk. Rygorystyczny wymóg drugiego stopnia przy obsadzaniu samodzielnych stanowisk doprowadził do groźnego w skutkach obniżenia wartości i rangi doktoratu, jak również rozprawy habilitacyjnej, która miała być w założeniu probierzem wyższych kwalifikacji naukowych. Wia-

Dokończenie na str. 5

Mały Wieniawski idzie w górę

CZŁOWIEK bez słuchu i pamięci muzycznej nie zna rozmiarów swego kalectwa. Domyśla się tylko świata precyzyjnych dźwięków, które olśniewają, rozsypują się, perlą, nigdy dla niego w całym bogactwie. On, drewnianouchy, nie potrafi ucieszyć się czystością muzycznej metafory. Dlatego II Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków, który niedawno odbył się w Lublinie — przeciętny kibic kulturalny rejestruje, lecz niekoniecznie przeżywa.

Konkurs oczywiście przeżywa środowisko muzyczne. Żadne tam odsiewanie talentów od miernot, jakby uważał przeciętniak, ale porównywanie szkół wiolinistyki i rozdmuchiwanie iskier bożych skrzesanych odtwarzaniem utworów Wieniawskiego, i nie tylko — oto funkcje konkursu.

W tym roku konkurs zachwycił wszystkich, którzy się z nim bliżej zetknęli. Po pierwsze — jego poziom okazał się nadspodziewanie wysoki. W grupie młodszej wystąpiło dużo utalentowanych dzieci, które rozczulały publiczność również wdziękiem i dorosłą powagą artystów, na przykład najmłodszy uczestnik Rumun Dan Claudiu Vornicelu z maleńkimi skrzypkami, w miniaturowym białym smokingu. Zachwycano się Japonką Akiko Hasagawą, ale za talent najczystszej wody, z którym człowiek styka się w życiu raz — uznano jedenastoletniego Wadima Repina z Nowosybirska. W grupie starszej, w której nie znaleziono tak wielkich indywidualności — było za to więcej dobrze przygotowanej młodzieży. Przyjemnie odnotować, że ekipa polska zaistniała w tym konkursie jako licząca się siła i szkoła skrzypcowa. Krótko mówiąc, nasi nie darmo doskonalili się na kursie mistrzowskim w Łańcucie, który z grubsza można porównać do sportowego zgrupowania.

Jak twierdzi przewodniczący jury prof. Zenon Brzewski z Warszawy, ocenianie talentu u dzieci jest zawodne, więc traktuje się je według zasady hic et nunc, czyli tu i teraz. W porównaniu do poznańskiego konkursu dojrzałych skrzypków lubelski, nie jest jak tamten walką o miejsce w zawodzie. „Mały Wieniawski" stał się konkursem nadziei — wykonawców, rodziców, nauczycieli i jurorów. W Lublinie walczy się o poziom, a co to znaczy, wiedzą obserwatorzy „dużego" Wieniawskiego; w ostatniej jedenastoosobowej ekipie polskiej w Poznaniu, aż dziesięciu uczestników grało na konkursie w Lublinie.

Organizatorzy lubelskiego konkursu mają ambicje, żeby wyławiać skrzypcowe talenty z całego świata. Na następny konkurs, który odbędzie się za trzy lata, postanowili ściągnąć Latynosów, Azjatów i Afrykanów. Ostatecznie wszystko jest możliwe, a dziwne są drogi sprowadzające wielbicieli Wieniawskiego do Lublina. Na przykład gość i obserwator konkursu Japończyk Akira Matsudajra założył w Tokio towarzystwo imienia Wieniawskiego, nic więc dziwnego, że przyjechał. Jako juror stanął absolwent lubelskiej szkoły sprzed trzynastu lat Zbigniew Zieńkowski, który obecnie jest koncertmistrzem w Kolonii (do pracy dojeżdża z Belgii, bagatelka, sto siedemdziesiąt kilometrów). Ze sław w jury zasiedli Roman Totengerg z USA, Stefan Gheorhiu z Rumunii i Yoshio Unno z Japonii. Mimo stanu wojennego konkurs nie ucierpiał ani pod względem liczby uczestników, ani pod względem zasięgu. Co prawda nie dojechała cała ekipa węgierska wraz z jurorem, nie dotarli wykonawcy z Francji, Hiszpanii i Ameryki, ale za to przyjechali inni. I będą przyjeżdżać, bo jak twierdzą jurorzy, sława lubelskiego konkursu rozchodzi się po świecie wiolinistów. Rzadko gdzie organizuje się taki konkurs i na taką skalę, chyba, że konkurencję postanawia stworzyć sam Yehudo Menuchin, a planuje zrobić to w kwietniu w Volkestone w Anglii.

Tymczasem Lublin się cieszy, bo konkurs młodych skrzypków zrobiono, mimo że odwołano sławniejszą Warszawską Jesień. Co prawda zwycięzcy dostali nagrody w złotówkach bez prawa transferu i nie kupią sobie nawet czekolady na drogę, ale powiozą w świat dobre samopoczucie i medale z profilami braci Wieniawskich. Zresztą i tak od najmłodszych lat wiedzą, że wyrzeczenia są udziałem każdego twórcy.

Anna Bocian

z notatnika

10.X. Wczoraj zakończyły się dwudniowe obrady Sejmu. W związku z doniosłą decyzją naszego parlamentu dotyczącą rozwiązania starych oraz stworzenia podstaw prawnych dla powstania nowych związków zawodowych ukazało się specjalne sobotnie wydanie „Sztandaru Ludu" (i nie tylki). A tak na marginesie — rzadko można znaleźć kraj na świecie, w którym dziennik ukazuje się w piątek na trzy dni!

Proces tworzenia się nowych związków zawodowych najlepiej będzie ukazywać na konkretnych przykładach. Podzielam pogląd gen. Wojciecha Jaruzelskiego, że ruch związkowy nie może być ani przedłużeniem administracji ani antysocjalistycznym zgrupowaniem politycznym. „Nowe związki — oświadczył gen. Jaruzelski — muszą być niezależne i w pełni samorządne. Istota porozumień społecznych sprzed dwóch lat pozostaje niezmienna na dziś i na jutro".

Wystarczy się dobrze wczytać w teksty porozumień, podpisanych ze strajkującymi robotnikami w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu w sierpniu-wrześniu 1980 r. i porównać brzmienie poszczególnych punktów ustawy sejmowej z postanowieniami owych porozumień, by sobie uzmysłowić, iż nie ma tu rozbieżności. Analizować trzeba poszczególne dokumenty na chłodno, patrząc na to, co faktycznie zostało n a p i s a n e, a nie tu i ówdzie u s ł y s z a n e. Nie będę tego tematu rozszerzać. Zdaję sobie sprawę, że ustawa ustawą, ale dopiero konkretne poczynania będą mogły stanowić sprawdzian jej realizacji.

Sprawy związkowe ciągle jeszcze budzą największe emocje i może dlatego na drugi plan poszły inne ustawy, którymi zajął się Sejm. A przecież warto zwrócić uwagę, iż odbyło się pierwsze czytanie projektu ustawy o radach narodowych i samorządzie terytorialnym.

Chodzi o rozszerzenie demokracji, chodzi o to, by radny przestał być bezradnym, by rada narodowa stała się faktycznym gospodarzem terenu, by miała prawo kontroli, by mogła toczyć spór — w razie konieczności — z wyższą instancją władzy.

Sejm omówił również wstępnie rządowy projekt ustawy o emeryturach pracowniczych i rentach. Nareszcie nastąpi likwidacja tzw. starego portfela. W 1970 r. przeciętna emerytura stanowiła 64,9 proc. średniej płacy, podczas gdy w 1981 r. — wskutek procesów inflacyjnych — tylko 53,7 proc. Doraźnie próbowano przeprowadzać pewne korelacje, ale dopiero przyjęcie ustawy pozwoli na przeliczenie wszystkich emerytur przyznanych do 31 lipca 1981 r. od podstawy wymiaru podwyższonego w tym samym stopniu, co wzrost przeciętnej płacy. W przyszłości ma następować coroczna rewaloryzacja emerytur w odniesieniu do przeciętnych płac, które — jak uczy doświadczenie — wzrastają, choć ostatnio nie tak szybko jak koszty utrzymania...

Do emerytury bliżej niż dalej, więc ta ustawa interesuje mnie, powiedziałbym, osobiście...

12.X. Jak się należało spodziewać, wszystkie rozgłośnie zachodnie zdołały szybko skoordynować swą kampanię przeciwko decyzji Sejmu o związkach zawodowych. Prezydent Reagan pozbawił Polskę klauzuli największego uprzywilejowania. Może nie zginiemy... A niejaki pan Edward J. Potocki wypuścił na rynek „antyreżimową wersję Wódki Wyborowej" o nazwie „Solidarity Vodka". Potocki (z których to Potockich?) mieszka w Kansas i myśli nie tylko o propagowaniu swego wyrobu na terenie USA. Biznes jest biznes — w atmosferze histerii rodzą się różne pomysły. Mnie smakuje reżimowa Wyborowa, ale zdrowie już nie to...

13.X. Wznowiona została „Literatura" — nie jako tygodnik, lecz miesięcznik (bardzo dobra szata graficzna!) Warto było wydać 60 złotych, aby przeczytać t y l k o jeden tekst — mam na myśli początek VIII tomu kolejnych wspomnień Jerzego Putramenta („Pół wieku"). Autor omawia czas nie tak odległy: rok 1970 i 1971. Sformułowania bywają ostre. Np.: „Był to końcowy etap (mowa o jesieni 1970 r.) w rozwoju politycznym Kliszki. Już był na wszystkich rozżalony, obrażony, skwaśniały. Wśród literatów miał jeszcze serce do trzech ludzi. Wystarczy ich wymienić, by zmierzyć głębię upadku umysłowego Kliszki. Byli to Kubacki, Lenart i Lewin".

Coś mi się wydaje, że przymiotnikiem „skwaśniały" można by obdarzyć jeszcze jedną osobę...

Ale poważnie: Putramenta się czyta, aczkolwiek w miarę lektury jego wspomnień nasuwa się tyle pytań, że nie spisałoby się ich na wołowej skórze...

16.X. Dwie informacje z wczorajszego numeru „Kuriera Polskiego".

Z pierwszej dowiadujemy się, że niebawem wyruszy z Polski ekspedycja badawcza złożona ze specjalistów od radiestezji, telepatii, telekinezy, hipnozy, precognicji, bioenergetyki i innych dziedzin z pogranicza nauki, by rozwikłać pasjonującą zagadkę słynnego Trójkąta Bermudzkiego. „Będzie to — pisze „Kurier" — pierwsze w świecie tego rodzaju przedsięwzięcie, jego organizatorzy zaś mają nadzieję „zapędzić w kozi róg" wszystkie dotychczas badające diabelski Trójkąt ekspedycje naukowe, które jak dotąd nie mogą się poszczycić natrafieniem choćby na ślad mogący prowadzić do odsłonięcia jego tajemnicy".

Druga informacja jest zupełnie innego rodzaju. Oto w nocy z 18 na 19 września br. w bazie Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowlanymi w Niestuniu k. Ciechanowa nieznani sprawcy... obcięli ogony 30 koniom przeznaczonym na eksport do Francji.

Bardzo się cieszę, że chcemy zapędzić w kozi róg wszystkie ekspedycje naukowe, osobiście jednak mniej mnie interesuje zagadka Trójkąta Bermudzkiego, natomiast więcej rodzima afera ogonowa.

A swoją drogą nie można narzekać na bezbarwność życia między Bugiem a Odrą...

Uzupełniam 19 października po lekturze ogłoszeń matrymonialnych z piątkowo-niedzielnego wydania tegoż „Kuriera Polskiego", aby umocnić wyżej skreślone zdanie. Poczytajmy:

„Naturystyczne Biuro Matrymonialne kojarzy pary organizując imprezy towarzyskie: wycieczki, biwaki, wczasy zapoznawcze, naukę języków i dyskusje na temat teorii szczęścia małżeńskiego w saunie koedukacyjnej. Zgłoszenia..."

„Panna, 23/170 (dziecko urodzi się w kwietniu) pozna młodego idealistę w celu matrymonialnym..."

„Podróż do Australii odbędzie z panią warszawiak. Fotooferty..."

16.X. W „Przeglądzie Tygodniowym" piękny wiersz Zbigniewa Jerzyny nawiązujący do ostatnich uroczystości watykańskich. Tytuł: „Umrę za ciebie". Wiersz pozwolę sobie przytoczyć w całości:

„Umrę za ciebie — powiedział nędzarz
do człowieka,
który też był nędzarzem
Stali naprzeciw siebie unikając
wzroku.
To co miało się stać było nas
wszystkich udziałem.
Mam dzieci — wyszeptał nędzarz. —
A ja mam tylko Boga.
Tego nie zdążył powiedzieć
Wepchnęli Kolbego do bunkra i szczur
Go pytał o grzechy
Świętość wyprzedza człowieka —
nagroda
za późno przychodzi".

18.X. W Lublinie powołano Tymczasową Wojewódzką Radę PRON — na jej czele stanął Stanisław Rostworowski, współzałożyciel Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, poseł na Sejm od 1972 r.

W rozmowie z dziennikarzem „Kuriera Lubelskiego" poseł Rostworowski tak scharakteryzował Tymczasową Wojewódzką Radę PRON: „Jej członkowie to działacze różnych organizacji samorządowych oraz ludzie, którzy społeczną pracę zaczęli niedawno. Pierwsi wnoszą do Rady element stabilności, drudzy — nie uporządkowane jeszcze wartości, ale odzwierciedlające współczesne odczucia społeczne. Będą się więc ścierać różne poglądy, różne racje. Ale w efekcie powstanie synteza służąca programowi odrodzenia narodowego".

M. A. Jaworski

KRONIKA

● W poszczególnych zakładach pracy Lubelszczyzny powstają grupy inicjatywne związków zawodowych. Oczywiście, nie jest to proces łatwy i masowy, niemniej jednak grupy takie istnieją już w największych fabrykach województwa: w FSC, WSK Świdnik i FLT Kraśnik.

● „Prezentacje 82" lubelskiej „Estrady" rozwijają się znakomicie, ciesząc się ogromnym zainteresowaniem publiczności, co dotyczy nie tylko takich imprez, jak rockowisko z 11 października w hali WOSiR, z natury rzeczy obiegane przez młodzież, ale i takich, jak spotkania z Józefem Szajną, którego audytorium (w domu kultury LSM i w BWA) liczyło ogółem kilkaset osób.

● Mieszkańcy województwa lubelskiego zwiększyli w tym roku swoje oszczędności w PKO o 2,5 mld złotych. Ogółem suma wkładów przekracza 15 mld zł.

● W bardzo dobrze działającym klubie „Masza" (róg Okopowej i Narutowicza) koncertowało Warszawskie Trio Klawesynowe: Karol Jagiełło, Jan Masecki, Danuta Jagiełło, która grała na syntezatorze Yamaha. Program raczej rozrywkowy.

● Setki mieszkańców województwa chełmskiego dopadły brzegów Bugu, by siatkami, koszami i workami po kartoflach zgarniać szczupaki, sandacze, klenie, płocie i leszcze z ogromnej ławicy odrętwiałych ryb, spływających z nurtem rzeki. Są podstawy do podejrzeń, że ryby zostały zatrute przez jedną z cukrowni.

● 6 października w hallu Biblioteki Głównej UMCS otwarto wystawę dorobku naukowego prof. dr. Tadeusza Mencla, znanego historyka z UMCS, badacza dziejów Księstwa Warszawskiego, Wlk. Księstwa Poznańskiego, powstań narodowych etc., autora ponad 150 prac. Z Uniwersytetem prof. T. Mencel związał się w 1957 r., łącząc pracę na uczelni z kierowaniem Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie. Od 1961 r. pracuje wyłącznie na UMCS. Wystawę otwarto z okazji podwójnej: 70-lecia urodzin i 25-lecia działalności naukowej profesora w uczelni. Nasze gratulacje!

● Rozgłośnia Lubelska Polskiego Radia ma już 30 lat — pracowitego, społecznie pożytecznego istnienia. Obecnie w nazwie instytucji znajduje się jeszcze słowo „Telewizji", oddające zakres działalności ośrodka, którego programy oglądamy co poniedziałek, czasami i w inne dni, na naszych domowych ekranach. Serdeczne gratulacje i życzenia dalszego rozwoju!

● Sześciu studentów i dwóch naukowców z amerykańskiego Lock Haven State College przebywa w UMCS (do 16 grudnia) w ramach współpracy między obiema szkołami. Nieco wcześniej do USA wyjechała grupa pracowników naukowych naszego uniwersytetu, której kierownikiem jest prof. dr Bohdan Dziemidok. W poprzednich latach Polacy, jak to się mówi, różnie wykorzystywali pobyt w Lock Haven, co nie uszło uwadze gospodarzy.

● W ciągu doby Lublin zużywa 150 tys. metrów sześciennych wody, czyli o około 40 tys. metrów mniej niż wynoszą potrzeby. Nie ulega wątpliwości konieczność budowy powierzchniowego ujęcia wody (na Wieprzu), co jednak jest przedsięwzięciem niezmiernie kosztownym.

OKOLICE SZTUKI

„Tadeusz Kantor"

TA albumowa książka powinna ukazać się co najmniej pięć lat wcześniej, kiedy malarz, rysownik, aranżer happeningów i twórca seansu dramatycznego „Umarła klasa" był już artystą szeroko znanym i honorowanym w świecie. Znając meandry naszej polityki edytorskiej, podziękujmy przecież Wydawnictwom Artystycznym i Filmowym za publikację o randze wydarzenia kulturalnego, choć pomyślaną, gdyby zawierzyć informacji wydrukowanej we wstępie, dość skromnie. „Celem książki — czytamy — jest próba przybliżenia i zrozumienia twórczości Tadeusza Kantora, a nie jej interpretacja, klasyfikacja lub popularyzacja".

Tymczasem, przedstawiając osobowość twórczą wybitnego artysty, jego poglądy, manifesty oraz liczne zdjęcia zrealizowanych przezeń obiektów czy spektakli, publikacja stanowi jednocześnie instruktywne wprowadzenie w procesualny charakter jednego z głównych nurtów współczesnej kultury artystycznej, w którym poszczególne fakty (obiekty) są dokumentacją autorskiej świadomości, a zarazem wyzwaniem do ich kompromitacji czy demistyfikacji, i w żadnym razie nie przyoblekają się w formę dzieł skończonych, zamkniętych i spiętych gorsetem takich czy innych kategorii estetycznych.

Nie należy przy tym sądzić, że refleksje o takich treściach „zasłaniają" postać samego Kantora. Przeciwnie: w tej książce artysta występuje jako żywa i skomplikowana, pełna niekonsekwencji osobowość, a jednocześnie indywidualność kreująca ów procesualny charakter kultury poprzez własną praktykę twórczą przede wszystkim oraz różnego rodzaju wypowiedzi werbalne, nie mające nic wspólnego z kostycznym, quasinaukowym wykładem, tak dziś rozpowszechnionym w elaboratach młodszego pokolenia, mało tego: chwalące się iście krakowską ekspresją. Oto, dla przykładu, końcowy fragment „Małego manifestu", wygłoszonego przez Kantora 8 kwietnia 1978 roku w krakowskich Sukiennicach na uroczystości wręczenia artyście Nagrody im. Rembrandta, przyznawanej przez Fundację im. Goethego w Bazylei:

„Stoję przed Wami, sądzony i oskarżony. Trzeba mi się usprawiedliwić, szukać dowodów, nie wiem: mojej niewinności czy mojej winy. Stoję przed Wami, jak dawniej... stałem w ławce... klasy szkolnej... i mówię: Ja zapomniałem, ja wiedziałem, wiedziałem na pewno, zapewniam Was, Panie i Panowie".

Książkę przygotował Wiesław Borowski, wieloletni szef stołecznej Galerii „Foksal", swego czasu żywo zajmujący się prasową krytyką sztuki, publikujący m. in. na łamach „Struktur", dodatku plastycznego „Kameny", który gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych ogłosił w „Kulturze" zachwycający (IJK) pamflet na naszą awangardę, czy raczej pseudoawangardę. Atak nie spotkał się zresztą z należytą odprawą; widać, Borowski miał rację, albo przestraszył przeciwników gorącą tonacją tekstu.

Otóż nie widzę człowieka bardziej uprawnionego do podjęcia „próby przybliżenia i zrozumienia twórczości Tadeusza Kantora", niż ten właśnie krytyk, przez długi czas towarzyszący poczynaniom artysty, który wielokrotnie występował w Galerii „Foksal", m. in. ze słynnym happeningiem „List" i wystawą „Multipart". Potwierdza to zresztą sama książka, złożona z kilku odmiennych części, doskonale spełniających ów autorski zamiar „przybliżenia i zrozumienia" — także poprzez podanie kalendarium (tylko do roku 1975 — dlaczego?) działalności Kantora i wybranej bibliografii, w której sporo pozycji obcojęzycznych. Intelektualnie i poznawczo najciekawsze wydały mi się dwa rozdziały: oryginalny tekst Borowskiego pt. „Osobowość twórcza", przedstawiający, najogólniej mówiąc, sens walki Kantora z konwencjami i... własną sztuką, oraz wywiad — rzeka (83 stronyl), jaki krytyk przeprowadził z artystą. Oto fragment tego [illegible] monstrous.

Na pytanie krytyka, czy jego rozmówca wierzy w „możliwości twórcze artysty samorodnego" lub „profesjonalisty w innej niż sztuka dziedzinie", artysta odpowiada: „W gruncie rzeczy nie wierzę. Ale każdy profesjonalista może ukazać sferę [illegible] wyobraźni. Mnie interesują, oczywiście dewiacje i odstępstwa od tego, co jest powszechnie uznane za dyscyplinę, za wiedzę, obowiązującą regułę, jasną perspektywę jakiegoś postępowania".

Dodajmy, że Kantor nie „uwierzył" też w konceptualizm. Zasłuchany w przedmioty coraz biedniejszej prowienencji, w metafizykę realności — nie dał się ponieść modzie na concept-art, która spadła na Polskę po roku 1970. On, któremu zarzucano, nie rozumiejąc nadrzędnej idei jego działalności, że jest „komiwojażerem sztuki światowej" w kraju nad Wisłą.

Kantor odżegnuje się również od sztuki „scjentystycznej", ale w tym miejscu chciałoby się wtrącić, że stale postępował jak współczesny naukowiec, który wyklucza ze swego leksykonu słowa „zawsze" i „nigdy", ciągle rewidując uznane prawdy, nawet przez siebie sformułowane.

IJK

P. S. Takich faktów z reguły nie odnotowuję, tym razem chciałbym jednak przypomnieć, że 30 sierpnia br. artystę odznaczono Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

TWARZ URSZULI

● *Oprócz paru rzeczy tego lata wyszedł nam niezły przebój „Fatamorgana '82" w wykonaniu tajemniczej Urszuli i „Budki Suflera". Piosenka weszła na antenę w lipcu i przez siedem tygodni przebywała na radiowej liście przebojów, w tym trzy tygodnie na IV miejscu. Obecnie możemy słuchać innego hitu Urszuli — „Bogowie i demony". Fachowcy z branży muzycznej przepowiadają wykonawczyni dużą karierę. Co ty na to?*

— Nic.

● *Nie masz do tego, co wyżej, żadnego stosunku?*

— Owszem, mam. Są to jednak sprawy bardzo prywatne. Może zatem nie wdawajmy się w oceny tego, co myślą o moim śpiewaniu inni.

● *Zostałaś już zdemaskowana. Nie jesteś już tajemniczą Urszulą. Przedstaw się może czytelnikom „Kameny".*

— Urszula Kasprzak, 22 lata, rodowita lublinianka. Studiuję w UMCS. Męża nie mam. Co jeszcze?

● *Gdzie się nauczyłaś śpiewać?*

— U pani Adolfiny Szałańskiej. Ona mnie namówiła na udział w Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Startowałam trzykrotnie, zdobywając w końcu, w 1977 roku, Złoty Samowar. W tym też roku wystąpiłam bez powodzenia w Opolu. Potem długo nic się nie działo..

● *Dlaczego?*

— Nie miałam z kim pracować. Brakowało kogoś, kto potrafiłby mnie ustawić w śpiewaniu. Pisać dla mnie muzykę, teksty. Bez tego nic się nie zrobi.

● *To masz już za sobą...*

— Wiosną tego roku dogadaliśmy się z Romkiem Lipko z „Budki Suflera". Postanowił mi pomóc, decydując się na wspólną pracę. Nagraliśmy trzy piosenki, z których dwie już chodzą w radio. Gdyby nie współpraca z „Budką", byłabym tam, gdzie poprzednio: nigdzie.

● *Na jak długo związałaś się z „Budką Suflera"?*

— Zamierzamy nagrać wspólny longplay, a potem pójdziemy w swoje strony. Myślę o własnej grupie.

● *Nie za wcześnie?*

— Nie. Mam ciągle poczucie zmarnowanego czasu. Tyle lat stałam w miejscu...

● *Czy masz talent?*

— Mam poczucie własnej wartości. Umiem śpiewać. Uczyłam się tego w końcu od 14 roku życia. Gram na fortepianie. Studiowałam przez rok wychowanie muzyczne. Mam więc, jak to się mówi, zaplecze.

● *Z czego żyjesz? Ze śpiewania?*

— Z rodziców. Za dotychczasowe nagrania nic nie dostałam. Przyznam, że nie wiem nawet, jakie są przepisy w tym względzie. Na razie mnie to nie interesuje.

● *Kiedyś chyba musi zacząć...*

— Nie da się ukryć, że przez najbliższe kilka lat mam zamiar z tego żyć. Jest to związane z koncertowaniem, trasami itd. Nie śpieszę się do tego. Czekałam tyle lat, mogę jeszcze trochę. Chcę się pokazać z wartościowym repertuarem, dobrym zespołem. Słowem: idzie o poziom.

● *Czy masz swego impresario?*

— Pomocą służy mi Jerzy Janiszewski z Polskiego Radia. Jest on fachowcem w branży muzycznej, ma duże doświadczenie we wprowadzaniu na rynek muzyczny nowych nazwisk.

● *A propos nazwisk. Dlaczego nie ujawniałaś dotąd swojego, ukrywając się jako tajemnicza Urszula? Chwyt reklamowy?*

— Niezupełnie. Kiedyś, puszczając w radio moją piosenkę, zapomniano nazwiska i podano tylko imię. No i tak to zostało. Potem słuchacze zaczęli się dopytywać, a Jurek Janiszewski zwlekał z ujawnieniem, tym razem celowo.

● *Spodziewano się, że obok imienia pojawi się jakiś efektowny pseudonim estradowy, obcobrzmiący, udziwniony.*

— To nie ma sensu. Zawsze trzeba mieć twarz. Najlepiej — własną. Albo broni się wykonawstwo takim, jakim jest, albo nic mu nie pomoże. Nawet bajerancka ksywa. Jeden ze słuchaczy proponował mi w liście pseudonim „artystyczny": Urszula Maank. To „Maank miało być podobne brzmieniowo do: „punk".

● *Stoi przed tobą problem stylu. Trudno dziś trafić w gusta, jak przed kilku laty Izabela Trojanowska, czy Cora*

— To prawda. Nie ma mowy o wzorowaniu się na kimkolwiek. Chcę robić taki miękki, kobiecy „punk". Z elementami pantomimy. Może opery... Dużą wagę przywiązuję do scenografii. Mogę zdradzić, że w tej materii współpracuję z Aleksandrą Laską-Wołek. Jest świetnym fachowcem w tej branży. Współpracuje ona m.in. z Jeżowską.

● *Branża rozrywkowa nie należy do najlżejszych. Mówi się o prawach buszu rządzących w niej...*

— Jest to prawda. Układy są paskudne. Trzeba mieć ogromną wytrzymałość psychiczną.

● *Czy bierzesz pod uwagę w swoich kalkulacjach, że ci nie wyjdzie ta twoja kariera?*

— Nie jest to dla mnie sprawą życia i śmierci. Przecież mogę robić parę innych rzeczy w życiu...

● *Jakich?*

— Uczyć dzieci śpiewu, na przykład.

● *Powiedz coś o sobie. Prywatnie.*

— Nie jestem typową dziewczyną. Nie lubię gotować, nie lubię plotkować. Obracam się w towarzystwie dziewczyn bardzo rzadko, nie mam żadnej przyjaciółki. Uważam, że w ogóle dziewczyny są strasznie nudne, głupie i naiwne.

● *To ci sympatyczek nie przysporzy...*

— Trudno.

● *Co lubisz?*

— Lubię mocno żyć. Lubię, jak się coś dzieje.

● *Hobby?*

— Konie. Przez dwa lata ćwiczyłam w Studenckim Klubie Jeździeckim. Teraz mam na to mniej czasu.

● *Lubisz się podobać mężczyznom?*

— Naturalnie. Jak każda dziewczyna. Uważam nawet, że jestem ładną dziewczyną, sexi...

● *Twoi muzyczni ulubieńcy?*

— Nina Hagen, Kim White, Kate Bush.

● *Twoje życzenie „na dziś"?*

— Chciałabym pogodzić studia ze śpiewaniem.

● *Co studiujesz?*

— Pedagogikę w zakresie upowszechniania kultury. Można to było nazwać krócej: animacja kultury.

● *Co byś chciała powiedzieć swoim miłośnikom?*

— Jeżeli tacy są... Nie oceniajcie mnie inaczej niż innych wykonawców. Wasza życzliwość jest mi potrzebna, ale także i krytyka, jeśli na nią zasłużę.

● *Stajesz się osobą publiczną. Udzielałaś pierwszych wywiadów.*

— Jeżeli dziennikarze uważają, że warto o mnie pisać, nie będę im tego utrudniała. Nie zamierzam jednak w żadnym wypadku o prasę zabiegać.

● *Jesteś tu raczej wyjątkiem...*

— Nie lubię reklamiarstwa. Niedawno przeczytałam rozmowę z niejaką Gaygą, która stwierdziła, że umie wszystko, jest najlepsza i w ogóle przyszłość polskiego rocka to ona właśnie. Włos się jeży...

● *Zatem niech ci się wiedzie...*

— Niech się nam wszystkim wiedzie.

Rozmawiał: Michał Rey

Fot. Jacek Mirosław

Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Życiorysy" popularnych roślin ziołowych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Janusza Kawałki pt. „Historie ziołowe", która w roku 1983 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie.

(Red.)

Kminek zwyczajny

Marian Janusz Kawałko

WSPÓŁCZEŚNIE znanych jest blisko 25 gatunków kminku, które spotyka się na znacznych obszarach Europy, ponadto zaś w północnej Afryce, subtropikalnej strefie azjatyckiej oraz Ameryce Północnej. Kminek zwyczajny (*Carum carvi L.*) należy do ziół zasadniczo dwuletnich, przy czym podczas pierwszego roku tworzy przyziemną rozetę liściową, zaś w drugim — wyrasta w pędy kwiatowe. Jednakże zdarza się często, iż bylina zakwita dopiero w trzecim roku swojego rozwoju. Jest ona bardzo dobrze przystosowana do polskich warunków klimatycznych. Surowcem kulinarnym są, oczywiście, owoce. Kminkowe żniwa odbywają się pod koniec czerwca lub z początkiem lipca.

Pierwsze wiarygodne wzmianki o kminku zwyczajnym podali: Dioskorides Pedanios oraz Caius Plinius Secundus — obaj żyjący w I wieku naszej ery. W XX księdze „Historii Naturalnej" Pliniuszowej czytamy krótko: „Zagraniczną także jest roślina careum, nazwana tak od narodu swojego, ważna dla kuchni. Można ją w jakiejkolwiek bądź ziemi [...] rozmnażać. Najsławniejsza atoli jest z Carii, a potem z Frygii" (dzisiejsze tereny zachodniej Turcji).

Interesująca jest lakoniczna informacja o kulinarnym zastosowaniu omawianego gatunku. Tak samo bowiem powściągliwy okazał się Dioskorides — prawie rówieśny Pliniuszowi. Pisał, iż w jego czasach świeże, młode korzenie (!) zioła gotowano z mięsem — wołowym, cielęcym i baranim lub samodzielnie: na wzór warzonego pasternaku. Prawda, ale w przekazie lekarza z Cylicji bardzo mało o żywieniowym wykorzystaniu nasion: „Żołądek [illegible] trawienia sposobny czyni [...], zapiecza przed nagłą śmiercią, gdy go kto rano zażywa".

Przypuszczam, że w pierwszych wiekach naszej ery kreowano dopiero kminek na ingrediencję smakowo-zapachową.

Skończyła się starożytność i zioło wkroczyło w wieki średnie z mało większym spisem pochwał oraz zastosowań. Wymieniał go, to prawda, Ludwik Pobożny w znanym dokumencie „Capitulare de villis" pod nazwą „careium", lecz później mało się rośliną interesowano — szczególnie w Środkowej i Zachodniej Europie.

Zachowane angielskie rękopisy kulinarne świadczą jednak, iż XIII-wieczni mieszkańcy Albionu dodawali kminek do zawijanych w słoninie, pieczonych kur. Natomiast ówczesny trubadur, Robert de Blois, zalecał młodym pannom zażywanie kopru, anyżu i kminku jako... dezodorantów jamy ustnej. Dziś byłaby to co najmniej obraza — wówczas takie rady uznawano za obyczajne.

W późniejszych wiekach przyprawa wchodzi do grona liderów, ingrediencji nie tylko cenionych, ale powszechnych. Szlachcic pan i kmieć pańszczyźniany jednako go z polewką spożywają. To ważne i — równouprawniające, a kto wie, czy nie dające skromnego poczucia jedności... Za dużo jednak było różnic ekonomicznych uwidoczniających się właśnie na talerzu kmiecym i szlacheckim, aby przyprawami dało się je zlikwidować.

Schyłek polskiego Renesansu i wczesny Barok był dla rzeczonego gatunku okresem największej estymy; ale przez następne dziesiątki lat na stoły magnackie oraz „chudopacholskie" trafiały głównie: pieprz, imbir, gałka muszkatołowa, goździki i szafran.

Rys. Maria Tyzenhaus

Tak więc, po okresie wzmożonego zainteresowania różnymi ziołami (również przyprawowymi), nastąpił zwrot ku „korzeniom", charakteryzującym się z reguły większą pikantnością oraz ostrzejszą wonią. Nie sądzę, iż zjawisko to wynikało jedynie z powszechnie panującej mody na towary kolonialne. Dopatrzyć się można w nim bowiem sensu głębszego: zdrowotnego i żywieniowego. Wobec ówczesnej niedoskonałości sposobów chłodzenia oraz zamrażania, mięso zwierząt rzeźnych, ptactwa i ryb ulegało dość szybko naturalnym procesom gnicia, jełczenia itp. Właściwa technika kulinarna (obsmażanie połączone z duszeniem w małej ilości wywaru, bądź dłuższe gotowanie) oraz dodatek ostrych przypraw nie tylko uzdatniały żywność w sensie organoleptycznym, ale eliminowały również — w znacznym stopniu — niebezpieczeństwo zatruć pokarmowych. Rośliny zielarskie więc stosowano przeważnie tylko w takich przypadkach, gdy surowcami wyjściowymi do sporządzania dań były artykuły o dłuższym okresie trwałości (warzywa, rośliny strączkowe, kasze, mąka, niekiedy ryby). Podobnie starały się żywić u nas uboższe warstwy społeczne. Podkreślić równocześnie trzeba, iż wszelkie substancje smakowo-zapachowe dodawano do potraw na krótko przed zakończeniem obróbki termicznej, co dokładnie zgadza się ze współczesnymi zaleceniami technologów żywienia.

Kminek pospolity tylko częściowo utracił swoje znaczenie przyprawowe. Choć rzadko wymieniały go osiemnasto- oraz dziewiętnastowieczne podręczniki kucharskie, to ze względu na swoje walory sensoryczne stał się aromatyzatorem pieczywa (chleb, suchary, precle tzw. placki solne) i różnych gorzałek (np. słynne staropolskie wódki z Gdańska).

W Lejdzie miejscowi mleczarze opracowali metodę produkcji kminkowego sera. Owoce rośliny dodawano do masy serowej i z nią wyrabiano jeszcze przed prasowaniem. Wyrób smakował jednak lepiej, gdy używano owoców *Carum carvi* w formie sproszkowanej (mielonej, tłuczonej). Kminek wchodził ponadto do zupy piwnej lub kminkowej, niektórych sosów, kiełbas i kwaszonej kapusty.

Maria Disslowa w swoim podręczniku kucharskim pt. „Jak gotować" pomieściła „najobfitszy zbiór przepisów dla wszystkich stanów i klas", podała też szereg receptur z kminkiem. Wśród zup z dodatkiem kminku wymieniła:

— kwasówkę, czyli rodzaj zupy fasolowo-grzybowej na kwasie z kapusty, zagęszczoną zasmażką;

— kapuśniak z mięsem i kiełbasą (na wywarze mięsno-jarzynowym);

— zupę wiejską (rodzaj zupy jarzynowej z fasolą, zagęszczoną zasmażką);

— gramatkę piwną (polewkę postną, gotowaną z miękiszem chleba i przecieraną);

— zupę śmietanową „na prędce", podawaną z grzankami (zawiesinę ze śmietany i mąki aromatyzuje się odwarem mleczno-kminkowym, a następnie całość podgotowuje).

Wśród dań mięsnych wybór jest także spory. Pieczeń zrazowa na przykład, nadziewana farszem — z wieprzowiny, duszonej cebuli, bułki i jaja — przyprawionym szczyptą majeranku, pieprzu, czosnkiem oraz solą, musiała smakować nad wyraz, gdy się ją dusiło z kminkiem, zaś następnie podało z czerwoną kapustą i ziemniakami.

Z czasem przyjęło się uważać owoce *Carum carvi* za typowe dla kuchni czeskiej. Współczesna gastronomia naszych południowych pobratymców potwierdza tę opinię. Sporządza się tam rzeczywiście sporo dań przyprawianych kminkiem: zup gorących (np. zupa grzybowa na kwasie chlebowym, zupa śmietanowa), mięs gotowanych (wieprzowina z kapustą), duszonych porcjowanych (polędwica w sosie paprykowym, kotlety wieprzowe w sosie grzybowo-kminkowym, gulasz po czesku — z piwem), pieczonych (pieczeń wieprzowa), smażonych, przekąsek na zimno, ryb, warzyw gotowanych, sałatek jarzynowych.

Pozazdrościć pomysłowości!

Zioło uchodzi również za jedną z najstarszych przypraw rosyjskich. Jego owoców używają mieszkańcy Ukrainy do pieczonych placków, Białorusini — do różnych odmian żuru (np. postny, mleczny) oraz klusek żytnich i kartoflanych. U Łotyszów kminkiem aromatyzuje się serki pleśniowe i niektóre potrawy mleczne; litewska kuchnia zna recepty na starodawny barszcz z kołdunami (do którego, oprócz nasion *Carum carvi*, dodaje się kwas kminkowy, majeranek oraz koper), a także na pieczoną gęś, nadziewaną duszoną kapustą lub jabłkami, zapiekankę ze szczupaka i kwaszonej kapusty oraz parę potraw z brukwi — wszystkie koniecznie z „tminom". A jakże wyobrazić sobie w kuchni rosyjskiej kwaszenie kapusty, ogórków, względnie pomidorów bez kminku?

Nasiona „karolka", jako przyprawa, cenione są współcześnie także w kuchni algierskiej, egipskiej, francuskiej, jugosłowiańskiej, niemieckiej, węgierskiej. Niekiedy kminek pełni rolę jedynego aromatyzatora dań, znacznie częściej jednak łączy się go z innymi przyprawami, ziołami i ogrodowiznami. Znanych jest co najmniej kilkanaście wariantów kompilacyjnych, jak choćby takie: kminek, pietruszka — kminek, cebula — kminek, jałowiec — kminek, cebula, pieprz, chrzan — kminek, cebula, czosnek, kolendra, szafran — kminek, majeranek, czosnek — kminek, czosnek (cebula), mielona lub świeża papryka.

Nasionami kminku pospolitego można przyprawiać między innymi: ryby smażone, pieczone lub duszone (dorsze); zupy rybne i pierożki z rybami; surówki wielowarzywne; warzywa duszone, krojone lub nadziewane (pomidory, papryka, kapusta kwaszona, brukiew, pory); wieprzowe i wołowe kotlety siekane; niektóre zupy (zupa ziemniaczana, szwajcarska zupa z twardym serem, węgierska zupa — gulasz, polewka kminkowa).

Smutne „Spotkania"

NAJNOWSZY, czyli ósmy numer pisma „Spotkania z zabytkami" dostarcza wrażeń mocnych, podobnych do tych, jakie oferują nam filmowe „dreszczowce", eksploatujące np. temat zbiorowej patologii psycho-etycznej. Pomieszczone w nim artykuły, wypowiedzi ankietowe i informacje o cechach interwencji prasowej dotyczą co prawda instytucjonalnej, prawnej i społecznej ochrony zabytków w Polsce powojennej a więc materii jakby statycznej i znajomej, ale poszczególne fakty i opinie z czołowej partii numeru, uszeregowane w publikacjach chronologicznie — zresztą po raz pierwszy w ten sposób — podpowiadają nam, że między terenem kultury wyższego rzędu a pospolitym cyrkiem nie ma właściwie żadnej granicy.

Do ratowania zabytków zabrano się u nas już w roku 1944, by w kilku następnych latach odbudować całe staromiejskie zespoły urbanistyczne (Warszawy, Gdańska, Poznania) i wzmocnić co bardziej reprezentacyjne obiekty dawnej architektury. Był to wysiłek ogromny, dający powody do satysfakcji. Ale w cieniu tych wielkich przedsięwzięć zaczęły dosłownie ginąć setki i tysiące budowli tyle mniejszych, co wartościowych pod względem kulturowym, na własne nieszczęście rozsianych po wsiach i miasteczkach, gdzie poniewierano je m.in. z powodów ideologicznych (dwory ziemiańskie, pałacyki), religijnych (zbory ariańskie, cerkiewki) i ekonomicznych (kamieniczki rozebrane w celu pozyskania cegły). Dzisiaj, w okresie kryzysu gospodarczego, proces ten rozwija się nadal — przy cichej (?) zgodzie szerokich kręgów społeczeństwa, które ratowanie zabytków w „takich czasach" zdaje się uznawać za ekstrawagancję.

Wielokrotnie zwracano uwagę na ten stan rzeczy. Wspomniany numer „Spotkań" rekonstruuje tylko wystąpienia najważniejsze, autoryzowane przez zespoły fachowców i charakter dokumentów: dwa raporty — z 1956 i 1972 r. — o stanie ochrony zabytków w kraju oraz główne postulaty konferencji „System ochrony zabytków w Polsce", która jesienią 1980 roku odbyła się w Lublinie.

Lektura tych tekstów prowadzi do wniosku, że postulaty historyków sztuki, konserwatorów i w ogóle ludzi światłych, zmierzające do racjonalizacji opieki nad tradycją kulturową, były tylko częściowo realizowane, a terenowe władze państwowe, zakłady pracy i przeróżne formacje społeczno-zawodowe wręcz wyspecjalizowały się w zwalczaniu, omijaniu i lekceważeniu aktów prawnych, ustanowionych przez ... najwyższe władze państwowe (Sejm, Radę Ministrów) w celu utrzymania przy życiu dawnej architektury i innych obiektów zabytkowych. Dodajmy, że ten nonszalancki stosunek do ustawy z 1962 roku i do kodeksu karnego umożliwiała diablo liberalna polityka organów ścigania, które przez wiele lat z reguły umarzały sprawy o dewastację zabytków, nie znajdując w takich działaniach znamion szkody społecznie istotnej.

Można wszak zauważyć, że głównym powodem niszczenia zabytków nie jest bezkarność ludzi rujnujących obiekty, czy luka w systemie opieki nad dobrami kultury, lecz brak środków na ich konserwację etc. Osobiście sądzę jednak, że niedostatek pieniędzy i mocy przerobowych to nie przyczyna całej sklerozy, ale skutek społecznej obojętności na los zabytków, maskowanej okazyjnie werbalnymi deklaracjami dobrej woli lub „dwudziestakiem" wrzuconym do żebraczej skarbonki „na Stare Miasto".

Z innych publikacji tego historycznego numeru „Spotkań z zabytkami" wynika, że w prezentowanym oto c y r k u uczestniczą także niektórzy konserwatorzy wojewódzcy, wydający nieprzemyślane decyzje (np. w obrębie naszego regionu, w związku ze zmianą pokrycia drewnianej cerkwi w Hrebennem). Ja z kolei znam takich, wojewódzkich i miejskich, którzy robią wszystko, by uniknąć zajęcia stanowiska wobec drażliwej kwestii. W ubiegłym roku Zarząd Wojewódzki PTTK i Towarzystwo Opieki nad Zabytkami w Lublinie, obie te instytucje takie oto pismo skierowały do budynku przy pl. Litewskim 1, po uprzednich oględzinach „nowo zbudowanego obiektu w Dąbrowicy":

(...) „Nie wdając się w ocenę architektury wzniesionego obiektu, jesteśmy zaniepokojeni stanem przyległej doń wieży i fragmentu arkady dawnej rezydencji Firlejów, włączonych w bryłę budynku. Wieża spękana jest wielokrotnie wzdłuż otworów okiennych, co jest szczególnie groźne przy materiale, z jakiego ją zbudowano (wapień). Również istniejące odsłonięcia spod tynku dużych płaszczyzn murów narażają kamień na łasowanie i wykruszenie. Osiadanie nowego budynku, połączonego zrębem murów, łukami arkad i płytami żelbetowymi z wieżą, może mieć także wpływ na stan zachowania zabytków. W związku z tym zwracamy się z prośbą o informację, czy zabytkowa budowla zostanie również odpowiednio zabezpieczona przez wykonawcę robót lub inwestora i w jakim stanie". (...)

Adresat, ówczesny wojewódzki konserwator lubelski, nie zechciał jednak zaspokoić ciekawości nadawców listu. (Może obecny to zrobi?!)

Ostatni numer „Spotkań z zabytkami" to rzecz ważna, warta skrupulatnej lektury. Teraz przychodzi nam tylko czekać na redakcyjne przedstawienie tego typu np. fenomenu, jak Pracownie Konserwacji Zabytków, o których tak ładnie opowiada dziennikarzom dyrektor Polak.

Ireneusz J. Kamiński

Profesor Narcyz Łubnicki - doktorem honoris causa UMCS

Szkic do portretu humanisty

Zdzisław Cackowski

SENAT Akademicki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej nadał — decyzją z 24 września 1982 roku — doktorat honoris causa prof. dr hab. Narcyzowi Łubnickiemu. Jest to najwyższe wyróżnienie honorowe, jakim Uniwersytet dysponuje i którym obdarza najbardziej zasłużonych dla swego rozwoju profesorów własnych oraz innych uczonych o światowej renomie. Listę 17 dotąd wyróżnionych osób otwierają nazwiska Ireny oraz Fryderyka Joliot-Curie. Znajdują się na niej nazwiska uczonych ze Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Włoch, Węgier, Holandii, z Polskiej Akademii Nauk, Uniwersytetu Warszawskiego. Na liście tej znajduje się też jedno nazwisko własnego naszego profesora, wieloletniego i zasłużonego rektora, prof. dr hab. Grzegorza Leopolda Seidlera.

Tym, którzy nowego doktora honorowego UMCS nie znają, wypada powiedzieć, kim jest i co uzasadnia jego uhonorowanie.

Prof. Narcyz Łubnicki urodził się w 1904 r. w Białymstoku. Studia wyższe ukończył w roku 1925 w Wolnej Wszechnicy Polskiej, w której jednocześnie — od 1923 r. — pracował jako asystent psychologii. Doktoryzował się w paryskiej Sorbonie (1929). Po powrocie z Francji podejmuje znowu pracę na stanowisku asystenta w WWP, w Katedrze Logiki, Metodologii i Historii Filozofii. W 1932 r. uzyskuje doktorat Uniwersytetu Warszawskiego; doktorat honorowy przypada więc w 50-lecie tamtego doktoratu. W następnym roku habilituje się w WWP i do czasu wojny pracuje jako „docent w trakcie habilitacji", bowiem Ministerstwo WR i OP wstrzymało wszelkie awanse dla pracowników WWP z powodu postępowego charakteru tej uczelni. W czasie wojny prowadzi tajne nauczanie. Po wojnie podejmuje pracę organizacyjną i nauczycielską w resorcie oświaty i szkolnictwa Wyższego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Zostaje profesorem nadzwyczajnym (1944), a następnie (1960) zwyczajnym UMCS. W roku 1944 obejmuje kierownictwo Katedry Filozofii. W 1945 r. uczestniczy w tworzeniu Uniwersytetu Łódzkiego. Od roku 1974 jest profesorem emerytowanym UMCS.

Opublikował dotąd około 120 prac naukowych, podręcznikowych i popularno-naukowych, w tym 8 książek i ok. 40 większych rozpraw. Dotyczą one głównie teorii poznania, metodologii nauki oraz historii filozofii.

Prace teoriopoznawcze i metodologiczne nastawione są głównie na sprecyzowanie i uzasadnienie dwu podstawowych tez: jedna z nich głosi, że potrzeby i działania praktyczne człowieka są wcześniejsze niż jego działania (konstrukcje) teoretyczne i że te ostatnie zależą od pierwszych; druga zaś głosi, że ów prymat praktyki wobec poznania umożliwia myśli ludzkiej przekraczanie swych własnych granic oraz tworzenie wiedzy obiektywnie ważnej.

W dziedzinie historii filozfii oprócz prac poświęconych filozofom o światowym znaczeniu (Bacon, Kartezjusz, Engels, Lenin) oraz wybitnym myślicielom i pisarzom rosyjskim (Hercen, Dostojewski, L. Tołstoj) szczególnie wiele uwagi poświęcał prof. Łubnicki badaniom — w latach 50-tych pionierskim — nad historią filozofii polskiej (Mahrburg, Straszewski, Massonius, Elzenberg, Ingarden). W pracach tych zawarte są rzetelne obrazy odmiennych postaw różnych autorów, ale i poszukiwanie wspólnych, powszechnie ważnych wątków myślowych, wątków łączących różne nurty w jedną rzekę.

Lektura prac prof. Łubnickiego odsłania pewien system wartości, które uważa on za naczelne: krytycyzm intelektualny, naturalistyczna metodologia, nastawienie antymetafizyczne, humanizm. Miarę dojrzałości ludzkiego myślenia widzi w umiejętności łączenia teorii z działaniem praktycznym; przeciwstawność ostra — tak częsta w historii i filozofii — postawy kontemplacyjnej i praktycznej jest dla niego oznaką niedojrzałości. Poszanowanie dla metod i dorobku nauki, dla materialistycznej i racjonalistycznej tradycji, dla dorobku kulturowego Polski, rozbudowywanie wspólnoty i współdziałania między kulturą polską i kulturą innych narodów, w tym narodów słowiańskich — to podstawowe wyróżniki dorobku prof. Łubnickiego.

A więc: odkrywczy badacz cudzej myśli, myśli różnorodnej, ale porozumiewającej się, wspólnotowej, ludzkiej; analityk, który skutecznie dookreśla trudne problemy nauki i podsuwa nowe a obiecujące warianty ich rozwiązywania. A do tego popularyzator i nauczyciel. Wie tak dużo, że słuchacze, rozmówcy i czytelnicy odnoszą wrażenie, że wie on wszystko. Ja przecież wiem, że prof. Łubnicki nie wie „wszystkiego", ale chcę powiedzieć, że to wrażenie nie jest powierzchowne, że wyrasta ono faktycznie z erudycji przeogromnej humanisty. Skuteczność jego nauczania wynika nie tylko z rozległej wiedzy i z głębokiego rozumienia nauczanych treści. Wynika ona także z dużej wiedzy o psychice odbiorcy i z wyczucia tej psychiki.

Wśród uczniów i wychowanków profesora jest dzisiaj 10 doktorów, 2 docentów, 3 profesorów. Autentycznie interesuje się — a co najważniejsze — potrafi się cieszyć dorobkiem naukowym młodych.

Fot. Waldemar Stępień

Stwierdzam przy tym, że jako kierownik i opiekun profesor był zawsze wobec swych współpracowników sprawiedliwy, konsekwentny i wymagający. Wszystkie zlecenia trzeba było wykonywać sumiennie i na czas, ba — przed czasem! Trochę przesadzając, można by powiedzieć, że u prof. Łubnickiego było jak w wojsku, o którym pisał chłopak do dziewczyny: „fajno jest, nie ma nic do roboty, ale trzeba to zrobić przed świtem!"

Ale, ale: ten rygor organizacyjny nie miał prawa wstępu na obszar pracy naukowej; tu różnorodność postaw, przekonań nie miała ograniczeń. Różniliśmy się w czasie tych dyskusji i między sobą, i z profesorem. Zrozumienie profesora dla odmienności ludzkich sposobów myślenia wynika z jego głębokiego przekonania, że tylko różne myśli warto wymieniać.

Przebogaty też jest wkład Profesora w organizację naszego Uniwersytetu i życie naukowe kraju. Był, między innymi, prorektorem UMCS (1962—65), jest wiceprzewodniczącym Komitetu Redakcyjnego Biblioteki Klasyków Filozofii, był wieloletnim wiceprezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Wszystkich funkcji nie sposób wymienić, a i nie miejsce tu na to. Szczególnym jego dzieckiem jest Lubelski Oddział Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, z którego po wojnie powstało PTF. Profesor Łubnicki był twórcą tego Towarzystwa w Lublinie i jego prezesem przez blisko 40 lat. Zasługi naukowo-organizacyjne podsumować można stwierdzeniem, że profesor jest twórcą filozoficznego środowiska Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Jest wzorem osobowym dla środowiska naszego, i nie tylko naszego, Uniwersytetu. Widziany jest powszechnie — a zasłużenie — jako człowiek całkowicie i bez reszty oddany nauce; nie jako ktoś, kto zajmuje się nauką, ale jako ten, dla kogo nauka, filozofia jest wyłączną treścią życia. Jest dla wszystkich, którzy go znają, człowiekiem zasad moralnych bezwzględnie traktowanych i realizowanych w jego osobistym życiu.

Jest ludziom pomocny i życzliwy, łatwo udzielają mu się ich radości, cieszy się ich sukcesami, cieszy się również, gdy inni okazują mu życzliwość i sympatię, ale nie sądzi — co dla mnie aż dziwne, bo miałby do tego prawo — aby inni mieli wobec niego jakiekolwiek zobowiązania.

Uniwersytet nadał prof. Łubnickiemu tytuł doktora honorowego. Ale to nadanie ma też przeciwny kierunek: obdarowywany również obdarowuje. Potwierdza przyjęciem nadania istotną więź swego dorobku naukowego i dydaktycznego, swego autorytetu moralnego ze wspólnotą akademicką. Potwierdza, w szczególności, swoją więź ze swymi najbliższymi współpracownikami i wychowankami. Obdarowuje ich swoim wsparciem i zaufaniem. To się wiąże także z naszym zobowiązaniem, aby tego zaufania w złej sprawie nie używać, a w dobrej — nie nadużywać!

Jak awansować kadry naukowo-dydaktyczne?

Dokończenie ze str. 1

domo bowiem, że habilitacje w większości przypadków mają więcej wspólnego z zabiegami o awans i karierę (często dwuznacznymi z punktu widzenia moralnego i społecznego), niż z poważnym wkładem w rozwój określonej dyscypliny lub dziedziny nauki. Poziom obecnych rozpraw habilitacyjnych jest w wielu przypadkach niższy od poziomu doktoratów. Habilitacje często stanowią zwykle kompilacje innych prac (publikacji) lub są przerobionymi doktoratami.

System, w którym pracownicy przez kilkanaście lat zabiegają nieprzerwanie o stopnie naukowe, utrudnia podejmowanie badań o istotnym znaczeniu dla rozwoju gospodarki narodowej, techniki i kultury. Zyskuje na tym tylko pewna część najmniej twórczych czy wręcz jałowych kadr, które w obawie przed utratą pozycji monopolistycznej w określonych placówkach, uczelniach, środowiskach czy dziedzinach nauki, świadomie hamują rozwój młodej kadry i przedłużają okres jej usamodzielniania się.

Zachowując stary tryb awansowania, nigdy nie zwalczy się groźnego, bezsensownego marnotrawstwa: niewykorzystanie najefektywniejszego u człowieka okresu zdolności twórczych, tego, co Grecy nazywali *akme*.

Długotrwały zastój we wzroście potencjału kadrowego w szkolnictwie wyższym, spowodowany skostnieniem proceduralnym, oraz nieelastyczna, pozbawiona wyobraźni i perspektyw, obarczona partykularyzmem dotychczasowych grup kierowniczych, polityka kadrowa są przyczyną krytycznej, graniczącej z impasem sytuacji wielu uczelni, instytutów i dziedzin nauki.

To nie rozbudowany i zbiurokratyzowany system stopni i tytułów naukowych gwarantuje wysoki poziom kwalifikacji, lecz taki system, który nie zabija zdrowej rywalizacji o jak najlepsze wyniki badań i kształcenia; który tworzy kulturę naukową i wyzwala autentyczne pasje poznawcze i dydaktyczno-wychowawcze.

W świetle powyższego zasadny staje się pogląd, że habilitacja nie powinna być postępowaniem doprowadzającym do uzyskania drugiego (wyższego) stopnia naukowego, lecz procedurą mającą stwierdzić, czy kandydatowi ze stopniem doktora nauk można przyznać prawo wykładania *(veniam legendi)* w szkole wyższej, a tym samym prawo spełniania funkcji wychowawcy młodzieży akademickiej. Z tego powodu **najistotniejsze jest stwierdzenie poprzez przewód habilitacyjny nie tyle kwalifikacji naukowych, gdyż jest to podstawowe zadanie przewodu doktorskiego, ile kwalifikacji osobistych kandydata do nauczania i wychowywania młodzieży w szkole wyższej.** Taki zresztą był tradycyjny sens habilitacji, bez której żaden doktor nauk, nawet wybitny, nie mógł być nauczycielem akademickim. Obecnie natomiast, praktycznie rzecz biorąc, nikt nie sprawdza predyspozycji i zdolności dydaktycznych i wychowawczych kandydatów na nauczycieli akademickich. Dotyczy to zarówno tych, którzy pozostają na uczelniach bezpośrednio po ukończeniu studiów wyższych, jak i tych, którzy przechodzą do szkolnictwa wyższego z tzw. praktyki gospodarczej, z instytutów naukowych, ośrodków badawczo-rozwojowych itp. Każdy, kto jest zatrudniony w szkole wyższej, staje się nauczycielem akademickim; niejako automatycznie ma prawo prowadzenia zajęć dydaktycznych i spełniania funkcji wychowawczych. Proponowane tu ujęcie habilitacji przyczyniłoby się z pewnością do przełamania impasu w dydaktyce szkół wyższych i przywrócenia zadaniom wychowawczym ich właściwego znaczenia.

W świetle powyższego habilitacja rozumiana jako *venia legendi* nie ma racji bytu ani w placówkach Polskiej Akademii Nauk, ani w resortowych instytutach naukowo-badawczych; jest ona niezbędna jedynie w szkolnictwie wyższym.

Przedstawione tu oceny i propozycje uzasadniają wprowadzenie takiego systemu, w którym istniałby tylko jeden stopień (doktorat nauk) oraz dwa tytuły naukowe — docenta i profesora. **Trzeba znieść podział tytułu profesora na nadzwyczajny i zwyczajny, gdyż profesorem nadzwyczajnym jest faktycznie docent.**

Dla rozwoju nauki i dydaktyki ważne jest to, aby tytuły naukowe były przyznawane za całokształt dorobku uzyskanego po doktoracie. Zapewni to kompleksowość oceny dorobku i ukierunkuje pracowników naukowych i dydaktycznych na osiąganie wszechstronnego i rzeczywistego postępu, będzie tym samym przeciwdziałać powszechnemu obecnie dążeniu do osiągania pozornych w istocie rzeczy efektów, nie służących ani praktyce gospodarczej, ani rozwojowi kultury.

Romuald Poliński

Autonomia a Piemont

Jerzy Wieluński

PO raz pierwszy Dante Alighieri w swoim dziele „De vulgarie eloquentia" uznał piemoncki za „odrębną mowę". Najstarszym zabytkiem literatury w tym języku jest zbiór kazań „SERMONES SUBALPINI" z XII w. Od owych czasów nieprzerwanie rozwija się w Piemoncie własne piśmiennictwo i „EL PIEMONTÈIS" zdobywa rangę języka całego regionu.

W składzie Świętego Cesarstwa Rzymskiego Piemont był samodzielnym państwem (1343—1383). Z uwagi na położenie geograficzne, na skrzyżowaniu dróg między Mediolanem a Barceloną, Rzymem i Paryżem, kraj przeżył niejedną inwazję i zawsze bronił swej tożsamości. Szczególnie rok 1747 chlubnie się zapisał na stronach księgi dziejów Piemontu zwycięstwem w bitwie pod Assiesta.

Pod rządami Francuzów Piemontczycy szydzili z narzuconego im „sprawiedliwego ładu". Slogan „LIBERTÈ — EGALITÈ — FRATERNITÈ" uzupełniono zdaniem idealnie wpadającym w rytm francuskiego hasła: „IJ FRANCÈIS AN CAROSSA E NOI AN PE", czyli: „Francuzi — w karocę, a my — na piechotę". Za Napoleona kraj został doszczętnie ograbiony.

Piemontczycy mają własne zdanie na temat zjednoczenia Włoch i zasług Garibaldiego. Zwolennicy Cavoura święcili tryumf, kiedy po utworzeniu centralistycznego państwa włoskiego według wzorów francuskich wydano we Włoszech w 1864 r. „Ustawową deklarację wojny przeciwko dialektom". Używanie języka piemonckiego w szkołach oraz urzędach państwowych zostało wówczas oficjalnie zakazane.

Tradycyjna niechęć do biurokratycznych przepisów i pustych frazesów oraz poczucie odrębności narodowej sprawiło, że Piemont pod rządami faszystowskimi nie drżał od okrzyków entuzjazmu. W czasie II wojny światowej kraj stał się ośrodkiem Ruchu Oporu — strajki powszechne, a później masowy zryw partyzancki, potwierdziły istnienie ducha wolności wśród Piemontczyków.

Dla powstania nowej, odrodzonej literatury piemonckiej szczególne zasługi położył wybitny poeta Pinin Pacot (1899—1964) oraz inni, jak poeta Nino Costa (1886—1945) czy zmarły w 1976 r. Armando Mottura (poeta i prozaik), zgrupowani wokół tzw. Towarzystwa „DIJ BRANDÈ". Nowo powstałe „DIJ BRANDÈ" wprowadziło w pierwszym rzędzie zunifikowaną ortografię dla wszystkich dialektów piemonckich, co z uwagi na istniejące między nimi znaczne różnice było momentem przełomowym.

Kolejnym doniosłym wydarzeniem stało się zapoczątkowanie obchodów rocznicy zwycięstwa z 19 lipca 1747 r. Pierwsza „FESTA DEL PIEMONT" miała miejsce w 1963 r. W roku bieżącym wyjątkowo bogate obchody rozpoczęły się w kwietniu i trwają do grudnia: konkursy literackie, konkursy recytatorskie, koncerty, występy zespołów artystycznych, czyli ogólnoregionalne święto kultury piemonckiej.

W czasie wyborów w czerwcu 1975 r. Partia Komunistyczna objęła kontrolę w tzw. Radzie Regionalnej Piemontu (dzięki większości zdobytych głosów).

Trudność w uzyskaniu pełnego statusu „prowincji autonomicznej" polega na tym, że według konstytucji, Republika Włoska jest „UNA ED INDIVISIBILE". Stąd odmowy rządu w sprawie wprowadzenia np. powszechnej nauki piemonckiego w szkołach. Argumentem w rękach zwolenników pełnej autonomii jest jednak fakt, że niektóre inne mniejszości narodowościowe i językowe we Włoszech (Dolina Aosty, okręgi Górnej Adygi) posiadają szerokie swobody autonomiczne.

Poważnym zagrożeniem dla kultury piemonckiej jest napływ ludności z innych rejonów Włoch do zakładów przemysłowych w Turynie, Biella itd.), niosący ze sobą perspektywę utraty językowej identyczności regionu. Zwróćmy w tym miejscu uwagę na paradoksalny z drugiej strony fakt, że w Argentynie żyje aż 3 300 000 Piemontczyków (emigracja!), którzy w nowej ojczyźnie kultywują tradycje starego kraju u stóp Alp. Przy okazji nadmieńmy, że argentyńska „FAMIJA PIEMONTEISA" ma poważne zasługi dla kultury piemonckiej.

Luis Rebuffo — Argentyńczyk pochodzenia piemonckiego, poeta, historyk, filolog, wydawca „LA FIAMA" (czasopismo piemonckie w Argentynie) — jest jednym z najgorętszych orędowników sprawy piemonckiej.

W Turynie działa „CA DE STUDI PIEMONTEIS" — instytut koordynujący badania dziejów Piemontu. Grupuje on intelektualną elitę kraju i aktywną działalnością promieniuje na cały Piemont. Również w Turynie istnieje tzw. „TEATR STABIL" prowadzący od wielu lat wykłady powszechne na temat historii i kultury Piemontu.

Wydano szereg słowników piemonckich, a ostatnio trzytomowy obszerny „DISSIONARI PIEMONTÈIS" autorstwa G. Gribaudo oraz P. i S. Seglie (filolodzy, poligloci). „Gramatyka Piemoncka" Camilo Brero doczekała się wielu wydań. Istnieje szereg czasopism literackich: „MUSICALBRANDÈ", „ARMANACH ED POESIA", „EL CAVAL ED BRONS" i inne. Dzieło „LITERATURA AN PIEMONTÈIS" zestawia bibliografię od czasów najdawniejszych.

Etnolingwista Guiu Sobiela-Canitz wskazuje, że italofon, np Toskańczyk, nie odczuwa więzi językowej z Piemontczykiem. Mimo wspólnej przynależności do rodziny języków romańskich różnice między włoskim a piemonckim są głębokie.

Badacz hiszpański, Fernando Sarrailh de Ihartza, wykazał istnienie w piemonckim elementów przedindoeuropejskiego języka libijskiego... Przypomnijmy jeszcze istnienie w piemonckim struktur gramatycznych charakterystycznych dla języków celtyckich... Piemoncki to nie włoski!

Spośród wielu twórców wymieńmy kilku. Tavo Burat — socjalista, zwolennik idei: „autonomiczny Piemont w Zjednoczonej Europie". Censin Pich — poeta i prozaik aktywnie działający na rzecz rozszerzenia kontaktów z innymi narodowościami. Alfredo Nicola — pisarz, dyrektor „MUSICALBRANDÈ". Toni Bodrie — poeta-stylista, tworzy w kilku językach. Sergi Blin — autor szeregu książek, doskonałych opowiadań pełnych subtelnego humoru. Giusep Goria — poeta młodszej generacji, autor prac publicystycznych na temat języka piemonckiego w Argentynie.

Na zakończenie — ciekawostka. Grudniowa edycja „MUSICALBRANDÈ" z 1981 r. w znacznej części poświęcona jest Chopinowi, konkursom chopinowskim oraz Polsce.

P.S. Smutne, że znakomici autorzy wspaniałego „SŁOWNIKA TERMINOLOGII JĘZYKOWEJ" (W-wa, PWN, 1968) uważają jęz. piemoncki za „dialekt.

BADOLIO był to osioł.

Proszę dobrze mnie zrozumieć. Nie twierdzę, że generał Badoglio był osłem. Chcę jedynie powiedzieć, że znałem osła, na którego wołano Badolio.

Dlaczego tak właśnie?

Myślę, że nazwano go tak nie przez złośliwość, a sentyment — wieśniacy nadają przecież swoim krowom imiona Bandiera, Sabaudia, Italia. Sprawa w przypadku osła niewątpliwie wyglądała podobnie.

A może się mylę?

Kto wie, tyle lat!...

Pewnego majowego popołudnia leżałem o pustym żołądku na sienniku wypchanym kukurydzianą słomą. Byłem zajęty drażnieniem kotka Marietty słomką, a Badolio pasł się na łące za kościołem.

Trzeba było widzieć tę łąkę. Haftem białych stokrotek i złotych jaskrów o rozwiniętych pączkach przypominała miękki, kosztowny dywan, rozpostarty nad balkonem ponad zieloną doliną cieniowaną gdzieniegdzie różem i bielą kwitnących czereśni i brzoskwiń. A błękitnym niebem płynęły bieluteńkie chmurki, niby owieczki wiedzione na pastwisko przez wietrzyk delikatnie je muskający.

W takim pejzażu z pachnącym zefirkiem również Badolio każdym nerwem wyczuwał uroki przyrody i mimo woli, ile tchu w oślich płucach, poczynał ryczeć, jakby opowiadając o swych miłosnych utrapieniach.

Ryczał tak głośno, że mury kościółka drżały w posadach. I w ogóle nie miał zamiaru przestać.

Wnet wybiegała Tina, jego pani, a że miała już dość tej muzyki pokrzykiwała na osła:

— Cichaj, niecnoto, cichaj!

Ale Badolio, urzeczony własną pieśnią, dalej porykiwał chmurkom o doznawanym upojeniu. Wtedy Tina, chcąc go uspokoić, chwytała kij, aby nim pogłaskać ośli grzbiet.

I wówczas rozgrywała się scena, której nie wystarczy nazwać arcykomiczną. Badolio biegał w kółko jak oszalały, nie przestając ryczeć. Wierzgał tylnymi nogami, kiedy tylko dębowy kij dotykał jego pośladków, a wtedy Tina z kolei cofała się przestraszona, aby później znowu dopaść osła, gdy ten się znajdzie dostatecznie blisko:

— A będziesz ty wreszcie cicho?

W końcu gubiła buty, a szukając ich pośród stratowanej na łące trawy, jedną ręką poprawiała włosy, zaczynając równocześnie płakać, a drugą — podnosiła opadającą spódnicę. Badolio intonował ostatnią zwrotkę, dobywając najwyższych nut rozdzierającej serce oślej pieśni.

Jezioro Genewskie (4)

Śladami Teodora Tomasza Jeża

Mirosław Derecki

PRZYJECHAĆ do Szwajcarii, być w Lozannie i nie pójść na grób Teodora Tomasza Jeża!

Postać wielkiego patrioty, niestrudzonego działacza demokratycznego, polityka, żołnierza Wiosny Ludów i Powstania Styczniowego, publicysty i literata zatarła się dzisiaj jakby w naszej narodowej świadomości. W dziedzinie literatury przysłoniła go osobowość Józefa Ignacego Kraszewskiego, a reszty dokonały historyczne powieści Henryka Sienkiewicza. Postać i działalność Romana Dmowskiego, który odszedł w końcu daleko od idei T. T. Jeża, swego dawnego patrona i współzałożyciela Ligi Polskiej oraz Skarbu Narodowego, mogły rzucać, niesłusznie, pewien cień na poglądy wiekowego pisarza. Wreszcie — czas i okoliczności historyczne skierowały naszą uwagę na inne sprawy i na innych ludzi.

Kto dzisiaj czyta książki Zygmunta Fortunata Miłkowskiego, występującego pod pseudonimem literackim T. T. Jeż? Kto myśli o wznowieniu jego powieści, przynajmniej najbardziej wartościowych spośród tych stu książek, które napisał i wydał w czasie swego długiego, dziewięćdziesięcioletniego życia? A przecież jeszcze nasi dziadkowie i rodzice pasjonowali się „Wasylem Hołubem", „Handzią Zahornicką", „Szandorem Kowaczem", „Wnukiem chorążego", „Pamiętnikami starającego się", „Narzeczoną Harambaszy", „Dachijszczyzną"...

Zygmunt Fortunat Miłkowski herbu Ślepowron, syn porucznika wojsk Księstwa Warszawskiego, uczestnika kampanii 1812 roku, kawalera Orderu Virtuti Militari, urodził się w przedzień wigilii świąt Bożego Narodzenia 1824 r. w Saracei na Podolu, a zmarł w nocy z 10 na 11 stycznia 1915 r. w bogatej, zabytkowej Lozannie. Nad opiewanym przez Słowackiego Lemanem — w Lozannie i Genewie, a także w Zurychu — przeżył Teodor Tomasz Jeż z górą czterdzieści dwa swoje „szwajcarskie" lata. W Lozannie był drugim po Adamie Mickiewiczu osiadłym tu polskim pisarzem, tutaj witał przybywających w wiele lat później nad Leman — Ignacego Paderewskiego i Henryka Sienkiewicza. W Genewie — opiekował się umierającym Józefem Kraszewskim. I to właśnie znowu tutaj, w Lozannie, miał po latach nad skromną trumną T. T. Jeża przemawiać Henryk Sienkiewicz.

„Zwłoki moje — pisał, zwracając się do swych dzieci, w testamencie Zygmunt Miłkowski — niech, jeżeli możność na to pozwoli, złożone będą w jednym ze zwłokami Matki waszej grobie i niech w grobie na obcej ziemi pozostaną póty, póki Polska należnej jej wolności i niepodległości nie uzyska. Wolę we względzie tym moją nie bez racji oznajmiam: wyrażam ją dla przypominania ludom i narodom obcym o Polsce grobami tych, co ją nad wszystko kochali i, walcząc o nią, walczyli o wolność Jej i Ich".

Ale cóż, los zrządził, że Zofia Miłkowska spoczywa na cmentarzu w Zurychu, a zwłoki jej męża nie tylko nie zostały złożone w tym samym grobie, nie tylko nie przeniesiono ich po odzyskaniu przez Polskę niepodległości do rodzinnego kraju, ale — co więcej — lozańska mogiła Zygmunta Miłkowskiego — Teodora Tomasza Jeża popadła w całkowite zapomnienie.

Przyjechać do Szwajcarii, być w Lozannie i nie pójść na grób T. T. Jeża! Tak, ale jakże możesz pójść, skoro nikt ci nie potrafi wskazać miejsca spoczynku słynnego pisarza? Skoro nikt nie wie, jak wygląda, na jakim cmentarzu znajduje się jego mogiła?!

• • •

Od centralnego placu Lozanny, pięknego Place St. Francois, schodziłem w dół, ku Jezioru Genewskiemu, na skraj miasta, gdzie ogromną plamą soczystej zieleni znaczy swoją obecność tutejsze miejsce ostatniego spoczynku — Cimetiere du Bois du Vaux. Przed sobą miałem jezioro i wypiętrzające się po jego drugiej stronie francuskie Alpy, za plecami sylwetę Notre Dame i usytuowany poniżej katedry rozległy, zwieńczony dwoma wieżyczkami, gmach uniwersytetu.

To właśnie chyba także ze względu na tutejszy uniwersytet, na krzewiące się bujnie w Lozannie szkolnictwo i życie naukowe, przenosił się T. T. Jeż w 1872 r. z Brukseli do tego szwajcarskiego miasta. Przenosił się do Lozanny z zamiarem założenia tam polskiego szkolnego internatu. Młodzież polska coraz częściej wyprawiała się w poszukiwaniu wiedzy, z kraju doświadczonego powstańczymi restrykcjami, za granicę. O Szwajcarii i jej szkolnictwie było na świecie głośno, pociągały Polaków tutejsze swobody obywatelskie, demokratyzm, a w nie mniejszym stopniu — malowniczość tego górskiego kraju i jego wspaniały klimat. Sam zaś T. T. Jeż dobiegał pięćdziesiątki, miał na utrzymaniu rodzinę i choć pasja pisarska ani na chwilę w nim nie przygasała, był już nieco zmęczony swym niezwykle dotąd burzliwym życiem. Szukał spokojnego kąta w Europie, ażeby kontynuować pracę literacką. Właśnie internat dla polskiej młodzieży uczącej się w Lozannie miał mu zapewnić ten cichy kąt i kawałek chleba...

Wszystko zdawało się obiecywać powodzenie przedsięwzięcia. T. T. Jeż był postacią budzącą szacunek i zaufanie jako znany i uznany ówcześnie literat, którego powieści drukowały „w odcinkach" ukazujące się na ziemiach polskich poważne gazety, zaś nazwisko pułkownika Zygmunta Miłkowskiego spowijała patriotyczna legenda. Żołnierz i literat, polityk i publicysta, Europę oraz panujące w niej stosunki znał na wylot. Czyż można sobie wyobrazić lepszego wychowawcę i opiekuna dla dzieci!?

OSIOŁ

Sergi Blin

Koniecznie trzeba o tym wszystkim opowiedzieć, aby zrozumieć, dlaczego od tamtej pory zawsze, gdy ktoś dotykał pośladków osła — nawet dla pieszczoty — Badolio niczym wyskakująca z ukrycia sprężyna, z szybkością błyskawicy wymierzał podwójne kopnięcie.

Nie musimy dodawać, że dla nas, chłopaczysków, było to niezmiennie wyśmienitą okazją do zabawiania się kosztem biednego zwierzęcia.

Wypada jednak powiedzieć w tym miejscu, że Badolio był naprawdę kochanym poczciwiną.

I tyle na wstępie.

* * *

Nadszedł listopad — posępne, listopadowe dni.

Ale jeszcze posępniejsze miały być dni owego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Rzadkie mgły jak dymki snuły się ponad doliną, spowijały drzewa kasztanowe, ślizgały się po strzelistych wierzchołkach modrzewi, a potem biegły w górę po stokach milczących Alp, o których się niekiedy zapominało, że istnieją tam, gniewne, pod pierwszą, śnieżną pokrywą.

Tamtej jesieni odgłos dzwonków przy obrożach krów jak nigdy przedtem niósł się doliną, docierając aż do nizin — zupełnie jakby śnieg i mgła wygładzały powietrze i dzięki temu rozchodził się z jeszcze większą łatwością.

Miasteczko ucichło. Ucichło nie tylko ze względu na porę roku zachęcającą do próżnowania, ale także z powodu wieści, które tu docierały. Ludzie, a bardziej niż ktokolwiek — mężczyźni, trzymali się w ukryciu z obawy, że ich złapią szkopy albo faszyści, wywiozą na roboty do Niemiec, wcielą do wojska, albo, co gorsza, wtrącą do więzienia.

Mnie również nie pozwolono na łażenie wokół domu i zbijanie bąków — rozeszły się bowiem pogłoski, że szkopy złapali w pobliżu dwóch chłopców w moim wieku i że odtąd wszelki słuch po malcach zaginął.

Dni spędzałem w stodole, wyciągnięty na uschłych liściach. Zabawiałem się łapaniem much, przeżuwałem garście kasztanów, mozolnie wydłubywanych z garnka, a ponadto zalecałem się do Marietty, która płonęła rumieńcem, skoro tylko na nią spojrzałem. Choć prawdę powiedziawszy, ja też odrobinkę się wstydziłem z nią rozmawiać...

Kiedyś rankiem tak wczesnym, że się myliłem z nocą, obudził mnie hałas. Sądziłem w półśnie, że odgłosy dobiegały z młocarni. Ciągle jeszcze zaspany, rozmyślałem, czy by nie wstać z legowiska, gdy tymczasem wpadła do mnie Marietta. Była w nocnej koszuli oraz płaszczu wuja Pero zarzuconym na ramiona. Przestraszona, wydobyła z siebie jednym tchem:

— Szybko, Jezus Maria, szybko! Czarni robią obławę! Mają czołg! Uciekaj, leć do Justynów i ostrzeż ich!

Już w połowie tego przemówienia zeskoczyłem z siennika na podłogę niezupełnie ubrany, a Marietta tylko szerzej rozwarła oczy na ten widok i natychmiast zniknęła.

Faszyści zabierali już grabie z klepiska. Ja, żeby się dostać do drzew kasztanowych opodal zabudowań Tiny i Justyna, musiałem wyskoczyć przez wychodzące na ogród okienko. Dom Justynów stał nie dalej niż na odległość strzału karabinowego. Miałem szczęście, że szedłem pomiędzy kasztanowcami, gdyż na ulicy byli już oni.

Dostawszy się na zaplecze domu, zobaczyłem, że podwórze roi się od faszystów. Ze stajni dochodziły głośne krzyki. Ukryłem się zatem z tyłu za stajnią, po drugiej stronie, przy okienku umieszczonym prawie na równi z ziemią.

Nie ważąc się poruszyć, wlepiłem oczy prosto przed siebie.

Justyn i Tina próbowali coś wytłumaczyć faszystom. Jeden z nich — wnioskując z ilości naszywek poprzyczepianych do munduru, musiał być komendantem — wykrzykiwał:

— Jak ci mam wbić do łba, ty durniu, że masz do mnie mówić po włosku?!

— La Boga, panie oficjerze, przecie jo nie umim po włosku!

Dyskutowali w ten sposób tuż obok osła i nieszczęsne zwierzę co raz obracało głowę, żeby na nich popatrzeć. Osioł prostował to jedno ucho, to drugie, odsuwając się dalej od ludzi. Dawał im do zrozumienia, jak bardzo był niezadowolony, że stoją zbyt blisko jego ogona.

Wkrótce pojąłem, że faszystom chodziło o tankietkę ugrzęzłą w rozlewiskach pobliskiego strumienia. Chcieli zarekwirować Badolio, uwiązać go do machiny i wyciągnąć ją z błota. Justyn i Tina wahali się oddać im osła w obawie, że połamie sobie nogi, a także — czego jednak głośno nie mówili — ze strachu, że go już nigdy więcej nie ujrzą.

W pewnej chwili dowodzący oddziałem zaczął się wydzierać:

— Badoglio! Nazywacie go Badoglio! To wy jesteście „badoglianie"! Buntownicy Badogliego!!!

Na poparcie swych słów łajdak nie znalazł nic lepszego, tylko zdzielił osła w grzbiet, wymierzając mu tęgie uderzenie.

Wiadomo, co było dalej.

Niczym błyskawica dwie podkowy przecięły powietrze i faszystowski zbir poleciał na ziemię jak pusty worek.

Dyszał teraz ciężko niby kowalski miech, a białka jego oczu mówiły same za siebie: popękanych żeber — przynajmniej pół tuzina.

Natychmiast powstał piekielny rwetes i wszyscy czarni, którzy byli na podwórzu, hurmem runęli do stajni.

Szkoda fatygi na wyjaśnianie, że faszysta zostawił osła w spokoju.

Ale kamraci zbira zapałali żądzą zemsty.

Ja zaś drżałem jak liść osiki na samą myśl, co mogli osiołkowi zrobić. Przygryzałem rękaw kurtki, bojąc się zdradzić swą obecność i nawet nie śmiałem uciekać.

A zamieszanie w stajni było wprost niesamowite: faszyści usiłowali wywlec Badolio na podwórze.

Myślałem, że zamierzali go wyprowadzić i zabrać ze sobą, albo też wyrządzić jakiś nieczy żart Justynowi i Tinie. Mieli jednak inne zamiary.

Poczciwe zwierzę, jakby to rozumiejąc, opierało się, ile mogło. Badolio kopał na prawo i lewo, zapierał się w ziemię ze wszystkich sił. Ale ich było wielu!

Nie bez trudu zdołali w końcu wytaszczyć Badolio na dwór.

Osioł, skoro się tylko znalazł na zewnątrz, podreptał na grządkę geranium. Na jego grządkę ulubioną być może właśnie dlatego, że Tina broniła jej przed nim wszelkimi sposobami, lękając się, że poobgryza rozkwitające tam skarby.

Już odgadłem zamiary faszystów, kiedy jeden z nich zawołał chrapliwym głosem:

— Chłopaki, ceeel...

Badolio stał spokojnie na czterech nogach i jakby świadomy tego, co miało go spotkać, nawet nie zwracał uwagi na geranium, które w innych okolicznościach byłoby dla niego nie lada gratką. Zanim szpetny typ, który dowodził, zdążył krzyknąć „pal!", zwierzę zwrócone do faszystów podniosło łeb i obnażywszy żółte zęby, jakby się wyśmiewając z czarnego, wydało tak potężny ryk, iż można było sądzić, że tym sposobem pragnie wyrazić całą swoją pogardę.

Zabrzmiała salwa. Badolio zgiął kolana i osunął się na ziemię.

A faszyści wzięli na ramię broń i zadowoleni z odniesionej wiktorii, pomaszerowali, wyśpiewując jedną ze swych piosenek pełnych arogancji.

Na grządce geranium Tina i Justyn przyklękli obok Badolio.

Justyn delikatnie głaskał mu sierść na pysku, a Tina — wydawałoby się że czule przemawiała do zwierzęcia, jakby go zapewniając, że się nic a nic nie stało z powodu geranium, które przygniótł swoim okazałym ciałskiem.

A ja, z twarzą przytkniętą do zimnych kamieni w murze stajni, płakałem rzewnymi łzami jak bóbr. Szlochałem i czułem, że coś dławi mnie w gardle.

Po raz pierwszy w życiu płakałem ze złości.

* * *

Historia z Badolio była pierwszym ogniwem w długim łańcuchu zbrodni dokonanych w dolinie. A potem bardzo wielu spośród nas dołączyło do partyzantów. W końcu nawet osły zrozumiały, po czyjej stronie należy stać.

Z języka piemonckiego przełożył **Jerzy Wieluński.**

P.S. „Badolio" — w pisowni piemonckiej, „Badoglio" — w pisowni włoskiej. Wymowa niemal identyczna. Justyn i Tina to chłopi piemoncy, mówią po piemoncku, a włoski rozumieją bardzo słabo albo wcale. Czarni — faszyści włoscy, Czarne Koszule Mussoliniego.

Sergi Blin — współczesny pisarz (poeta i prozaik) piemoncki. Jeden ze współtwórców nowoczesnej literatury w języku piemonckim.

Pomysł założenia w Lozannie pensjonatu dla polskiej młodzieży okazał się jednak zupełnym niepowodzeniem i po prostu zrujnował Miłkowskich. W liście pisanym 11 maja 1877 r. do swego przyjaciela, Aleksandra Guttry'ego, skarżył się Jeż: „Tonę — mój drogi. Dałem się namówić, a raczej uprosić — i założyłem pensjonat, w który włożyłem wszystko, co włożyć mogłem. Produkcję moją literacką podniosłem tak wysoko, żem zarabiał po 12 000 franków rocznie. Miałem obietnice i zamówienia na elewów szesnastu, z których w dwóch pierwszych latach przysłano mi dwóch, w trzecim pięciu płacących źle i nieregularnie. W roku przeszłym spadła na moją żonę ciężka choroba, która ją przetrzymała od miesiąca sierpnia do Nowego Roku. Po Nowym Roku jam się do łóżka położył na dwa miesiące. [...] Z końcem maja zatradują mnie, sfantują i z dziećmi na ulicę wyrzucą. Położenie moje jest rozpaczliwe — tym rozpaczliwsze, iż tracę siły, ducha i odwagę. Przychodzą mi do głowy myśli, których sam się wstydzę. [...] Nie możesz sam przez się, ale masz stosunki; masz takich, których obchodzi instrument zwany T. Jeżem, służący sprawie publicznej piórem, a łamiący się pod ciosami nieporadności i potrzebujący deski zbawienia... Potrzebuję pożyczki!... Ratunku!... ratunku!... na Boga!.. Czas nagli..."

* * *

Cmentarz Du Bois de Vaux przypomina w zarysie sierp księżyca. Położony — jak prawie wszystkie miejsca w Lozannie — na skłonie górskim, swą wypukłą częścią zwraca się na północ, w stronę miasta, wklęsłą — ku Jezioru Genewskiemu. Dołem, bliżej jeziora, biegnie autostrada do Genewy, nad samym brzegiem rozciągają się tereny sportowe, campingi oraz plaża Vidy. Ale tutaj nie dobiega szum autostrady ani zgiełk turystów i plażowiczów; na dwóch pagórach przeciętych uroczą dolinką Vallée de la jeunesse panuje spokój. Smutne stożki cyprysów, sosny, kunsztownie przycięte wiązy strzelają w górę nad wygracowanymi, wypieszczonymi przez cmentarną służbę alejkami, nad tysiącami grobowców tonących w masie kwiatów. Cmentarz-ogród, mogący być natchnieniem dla malarza lub poety, cmentarz-zasobna oaza ostatniego spoczynku dla ułądzonych ze współczesnym światem mieszkańców zasobnego kraju.

Niełatwo połapać się w tym labiryncie alej i alejek, placyków, pasaży, schodków pnących się na kolejne tarasy. Wśród pięćdziesięciu czterech sekcji cmentarnych trudno trafić nie tylko na poszukiwany grób, ale niełatwo odnaleźć nawet określoną sekcję. Dlatego w biurze dozoru cmentarza, przy głównym wejściu, uprzejma pani lub pan wręczają ci planik sytuacyjny.

Elegancki przeszklony parterowy pawilon przy bramie wejściowej mieści, w obszerniejszej części, bogato zaopatrzoną kwiaciarnię, w mniejszej — biuro cmentarza oraz kartoteki. W tych blaszanych, szarych szufladach mieści się cała wiedza o tysiącach wieczystych pensjonariuszy Cimetiere du Bois de Vaux i ja także miałem cichą nadzieję zdobycia wiadomości o miejscu ostatniego spoczynku Teodora Tomasza Jeża...

— Zygmunt Miłkowski? Teodor Tomasz Jeż? Non, taki u nas nie figuruje — zastanawiała się pani urzędująca przy biurku za drewnianą barierką. — Mort en mille neuf cent quinze? No tak, oczywiście, widzi pan, ten cmentarz został założony w roku 1929...

— Ale on został pochowany w Lozannie — upierałem się. — Czy może mi pani wskazać inne cmentarze?

— Innych cmentarzy w Lozannie nie ma. Zostały zlikwidowane, kiedy założono Cimetiere du Bois de Vaux.

— No to musiały być ekshumacje...

Czepiłem się tej ostatniej możliwości. Wygłaszałem podniosłe zdania, w których określenia „un fameux écrivain" mieszały się z „un grand Polonais" oraz „un vieux ami de Suisse". Na koniec, nie mając już żadnych innych argumentów, odwołałem się do słynnej w świecie dokładności i skrupulatności Szwajcarów, która tutaj oto właśnie wydaje się leżeć przede mną w gruzach.

Wtedy... pani przesiadła się do supernowoczesnej centralki telefonicznej, poszły w ruch kolorowe guziki, okrągłe i prostokątne przyciski, poszły sygnały do miejskich urzędów, do jakiegoś centrum komputerowego... I po pewnym czasie trzymałem w ręku pomarańczowy kartonik z wydrukowanymi rubrykami wypełnionymi maszynowym pismem:

Sect. No. B/22/Tombe No. 2004
Nom.: Milkowski
Prenom: Sigismond † 10.1.15. Age: 91 ans.
Date inhumation: 24 juillet 1962
Adresse: Cimetiere de la Pontaise
Reservé No. ..... F° plan 51
No et date de contrat: 110 du 2 août 1962
Echence de la concession: 2012
Observations: corps exhumé de la tambe no. 8 de 1915 cim. Pontaise, cerceuil plombé

— Ten stary cmentarz — tłumaczyła teraz, jakby przepraszająco, pani zza barierki — Cimetiere La Pontaise mieścił się tam w górze, wie pan, na północ od starego miasta, koło tego kościoła stojącego przy Chemin du Bois Centrale, w pobliżu Route des Plaines du Loup. Tam są teraz tereny sportowe...

— Dziękuję bardzo — powiedziałem — i chciałem już odejść. Ale kobieta wręczyła mi jeszcze plan cmentarza i na małej kremowej karteczce napisała ołówkiem dla pamięci: „tombe No. 8 de 1915 en cimetier Pantaise. Cerceuil plombé. Concession No. 2004, section 22".

Tak więc już wszystko było teraz wiadome. Zygmunt Fortunat Miłkowski został pochowany w grobie nr 8 na cmentarzu La Pontaise. Na początku lat sześćdziesiątych cmentarz uległ likwidacji i znajdujące się tam zwłoki przeniesiono na Cimietiere du Bois de Vaux. Zaplombowaną trumnę z prochami Zygmunta Miłkowskiego pochowano na nowo 24 lipca 1962 r. w sekcji nr 22 w grobie nr 2004.

Było już późne popołudnie, a niebo zaciągnięte niosącymi deszcz chmurami, kiedy odnalazłem wreszcie kwaterę nr 22 rozciągającą się na wypiętrzonym u północnego skraju cmentarza tarasie. Wszedłem na nią po dwudziestu kamiennych stopniach. Skręciłem w alejkę, która kryła się w cieniu winnowej pergoli. Znajdowałem się w najwyższej części cmentarza; za niedalekim murem widać było nowoczesne bloki mieszkalne.

Wreszcie zobaczyłem ten grób. Różnił się bardzo od innych, bo wszystkie groby na cmentarzu Du Bois de Vaux w Lozannie toną w powodzi kwiatów — róż, chryzantem, peonii, są obłożone marmurami, piaskowcem lub granitem. A tutaj miałem przed sobą smutny prostokącik gołej ziemi, żółtego gliniastego gruntu, utkanego tu i tam drobnymi kamykami i zeschłymi liśćmi.

To miejsce ostatniego spoczynku Teodora Tomasza Jeża obwiedzione było niziutką obramówką z bukszpanu, która zapewnia każdemu zmarłemu miejscowy dozór cmentarza. Ale nic więcej. Na pomniku po lewej stronie stał ogromny pęk złocistych chryzantem, po prawej — pąsowiały dalie. Na grobie T. T. Jeża — jedynie kamienista ziemia.

Na szczycie grobu nie było krzyża, leżała tylko niewielka, porastająca mchem płyta z szarego marmuru, przeniesiona zapewne z grobu na cmentarzu La Pontaise. Płyta — niewiele większa od rozłożonej książki — z napisem:

Zygmunt Miłkowski
T. T. Jeż
1824—1915

I to wszystko.

Pasja według starego portfela

Waldemar Piasecki

TRUMNA jest sosnowa. Jasna. Stoi w piwnicy, oparta z jednej strony o półki na kompoty, a z drugiej o ścianę. Inaej nie dało rady. Wozacy nie chcieli jej przywieźć od stolarza, bo wożenie trumien powoduje „niefart" Dali przekonać, kiedy przyniósł im butelkę „Mocnej" którą wywalili od ra- i spojrzeli na problem bardziej ciowo.

— *No dobra, dziadku. Ale to będzie szcze kosztować pięć „paczek"* — ybełkotał młodszy.

Potem wnosili trumnę po schodach piwnicy. W zakręcie się nie chcia- zmieścić i trzeba było zdejmować ieko. Na szczęście, nikt nie zauważył go dziwnego transportu.

Teraz Józef Pietruszka — rocznik 909, emeryt, poprzednio rencista, dowiec — może już sobie pozwolić a sentencję: „No to już jestem go- w.." Słowa te wypowiada spokojnie, nem cichym, refleksyjnie bardziej, ż z tępą determinacją staruszka.

Przed tym, żeby pisać o nim, broni bardzo. No bo niby dlaczego o nim? chy był całe życie i spokojny. Żadych czynów bohaterskich nie dokonał. racował uczciwie od 1924 roku do 67, kiedy to dosięgnęły go różne oróbska i bronić się nie miał siły. a rentę poszedł.

Za oknem dudnią samochody. A my — o życiu...

*

Józef Pietruszka ożenił się, kiedy iał dwadzieścia osiem lat. Pracował wówczas jako ślusarz w prywatnej irmie robiącej proste maszyny rolnize, pługi, brony. Życie jakoś się uładało. Wynajmowali mały pokój z uchenką. W 1938 roku urodziła im ię córka, jedynaczka zresztą, jak się óźniej okazało. Stefania.

Wojna dla niego zakończyła się po ięciu dniach. Oddział został rozbity, większość żołnierzy rozpierzchła się o lasach i wsiach. On sam kupił d chłopa cywilne ubranie. Mundur akopał w lesie i ruszył do domu.

Przez okupację jego dawna firma racowała dla Niemców, naprawiając amochody. Przepracował w niej, aż o wyzwolenia, które przyszło latem zterdziestego czwartego.

Po wojnie pracował w kilku zakładach metalowych. W końcu trafił do ublina i tu dotrwał do zawału, który o znalazł w pracy przy maszynie. Leał w szpitalu, potem był w sanatorium. Potem znów w szpitalu i znów w sanatorium. Dostał drugą grupę inwalidzką i poszedł na rentę.

W międzyczasie córka ukończyła studia chemiczne, wyszła za mąż i wyechała na Śląsk, skąd pochodzi jej hłop. Mieszkają tam od sześćdziesiąego czwartego. Stefania najpierw pracowała, ale teraz ma już dwóch chłopaków. Szesnaście i pięć lat. Siedzi w domu. Chłop pracuje w kopalni.

Żona Józefa Pietruszki — Stanisława — nie pracowała nigdy. Zajmowała się domem. Kiedy wracał z roboty, obiad już czekał gotowy. Pieniędzy starczało ledwo-ledwo, ale w mieszkaniu był porządek i spokój. Żyli spokojnie z renty „starego portfela" do wiosny osiemdziesiątego. Od tego czasu już tylko on sam Któregoś ranka żona poszła w kolejkę po mięso i nie wróciła Wylew Został więc Józef Pietruszka sam. A w tej samotności była jedna przerwa półroczna, kiedy córka wzięła go do siebie, do Chorzowa. Nie wytrzymał tam długo, mimo że nawet nie było tak źle. Zięć zabierał go na mecze, a córka w niedzielę do Parku Kultury i Wypoczynku. Nie wytrzymał. Ludzie inni, życie inne. Któregoś dnia, kiedy córka z mężem pojechali do jego brata, spakował swoją walizkę. Klucz zostawił u sąsiadki i poszedł przed siebie. Na stole była kartka: „Kochana Córciu, muszę wyjechać do Lublina. Tam mi będzie lepiej. Ucałuj dzieci i pozdrów Andrzeja. Ojciec". Pierwsze, co zrobił po powrocie, to poszedł na grób żony, na Majdanek. Grób jest podwójny. Na tablicy lastrykowej jest już nawet jego imię i nazwisko. Trzeba tylko wpisać dłutkiem odpowiednie cyfry w pozycje „Żył lat..." i Zmarł.. ".

Dziwnie się jakoś ułożyło, ale przeżył swoją żonę. Była z 1918 roku. Umarła nie skończywszy sześćdziesięciu dwóch. A on już dziś ma za sobą siedemdziesiąt trzy... Myśli sobie o tym nad jej grobem. Świeczki zapala, co niedzielę. Kwiaty przynosi. Niby wie, że starość ma swoje prawa, że trzeba kiedyś umrzeć, ale jakoś mu bez jego Stasi nie tak. I wtedy przychodzą myśli, że i jemu trzeba się będzie zabierać do niej. Wtedy zwykle idzie do kościoła i modli się, żeby śmierć miał dobrą, szybką.

*

Józef Pietruszka ma dużo czasu. Zwykle chodzi na spacer i myśli. A z tego myślenia wynikają rzeczy różne. Na przykład, kiedyś spotkał kolegę, który pracował razem z nim, potem się zwolnił, a potem siedział w więzieniu, za jakieś kombinacje. Co robi ten kolega, Józef Pietruszka nie wie. Ale raczej nic uczciwego. I kolega ów zaproponował mu pracę w warsztacie samochodowym. Cztery godziny dziennie mu proponował. Pamiętał, że mówiono o Pietruszce, iż ma „złote" ręce. Za te cztery godziny proponował mu sześć tysięcy na miesiąc, co Józefowi Pietruszce wydało się sumą zawrotną, w porównaniu z jego emeryturą, która z rekompensatą i po podwyżkach wynosi 4629 złotych polskich. Nie przyjął tej propozycji, bo nie jest na pieniądze pazerny, a i nie wiedział, czy to jest zupełnie legalne. Czego jak czego, ale nieuczciwości nikt mu nie zarzuci. Taki on już jest.

A teraz wyciąga kajet i kopiowy ołówek, którym pisze mu się najlepiej. Pokazuje mi wyliczenia, do których go namówiłem, i mówi, że lepiej będzie, jak to jeszcze raz sprawdzimy razem, bo on mógł coś pokręcić.

Bilans jest taki. Za mieszkanie: 320 złotych. Za światło i gaz 155 zł (bo za dwa miesiące: 310 zł). Czyli, że świadczenia: 475 zł. Z jedzeniem jest pewien kłopot, bo to zależy od pory roku. W lecie jadł rano dwie bułeczki z masłem i serem oraz szklankę mleka chudego. Na obiad talerz mleka zsiadłego z kartoflami. Na kolację chleb z masłem i herbatę. Co drugi dzień do chleba jeszcze była kiełbasa zwyczajna. Ile? Dziesięć deko, bo Józef Pietruszka kupuje jej półtora kilograma, czyli co drugi dzień, to po 10 deko właśnie. Przy niedzieli na obiad zupa na jakimś gnacie. Razem to by było tak: 30 litrów mleka (po 10 zł=300 zł), dziesięć bochenków chleba (po szesnaście=160 zł), 60 bułeczek (po 1,60 zł=96 zł), 5 kilo sera (po 85 zł=425 zł), półtora kg kiełbasy zwyczajnej (po 190 zł=285 zł), 15 kg kartofli (po 20 zł=300 zł), paczka herbaty 40 zł, cukier 46 zł, kostka masła 75 zł, owoce 150 zł, kawałek mięsa 200 zł, inne rzeczy (mąka, makaron, sól itp) dodatkowe 159 zł. Razem 2321 złotych polskich. Po dodaniu do świadczeń jest już: 2796 złotych. I tyle Pietruszka musi wydać, żeby przeżyć. Do życia musi mieć także papierosy „popularne" (12 paczek×11 zł=132 zł). Dawniej palił dwie paczki dziennie. Teraz się musi ograniczać. Pali tak samo często, ale mniejsze porcje. Po prostu każdy papieros tnie na trzy części. Pali w metalowej lufce, a więc prawie do końca.

Tak więc, z nałogiem życie kosztuje go 2928 złociszy. Zostaje 1692 złote na wydatki inne. Jakie? Na mydło, proszek do prania. Na jakieś awarie w mieszkaniu. Ubrania i butów Józef Pietruszka kupować nie planuje. To, co ma powinno mu wystarczyć. Do śmierci. To, co mu zostaje, dzieli na dwie części. Tysiąc odkłada „na czarną godzinę", a resztę na rzeczy nagłe.

Z funduszy „czarnogodzinnych" kupił właśnie trumnę. Kosztowała 14 000 zł. Stan tej puli na dziś: 4800 zł. Z puli awaryjnej wydał 828 złotych na remont piecyka gazowego i ma już tylko 2100 złotych. A właśnie zepsuła mu się pralka „Frania", którą używali z żoną 14 lat. Przyszedł fachowiec, obejrzał i powiedział, że awaria jest poważna, a naprawa będzie kosztowała „jakieś osiem i pół". Józef Pietruszka takiej kwoty nie zgromadzi; pierze więc w ręku, a grubsze rzeczy podrzuca sąsiadom, którzy mają pralkę automatyczną. Daje im w zamian kartkę na wódkę. Teraz jednak, kiedy w sklepach pojawiła się wódka pozakartkówka, nie wie, czy dla sąsiadów to będzie interes i czy go któregoś dnia nie pogonią z brudnymi koszulami. Gryzie się z tym bardzo... Bo za nic nie chciałby być kłopotliwy.

*

Józef Pietruszka ma w swoim kajecie także inne wyliczenia. Ot, na przykład, policzył, że — według danych PKO — każdy Polak ma zaoszczędzonych około 35 tysięcy złotych. On statystyczny nie jest i zna kilkunastu innych emerytów, co też nie są. Więc jeśli u nich nie ma tej forsy, to gdzie ona? U kogo? Ile?

Albo znów: dowiedział się, że minimalna płaca wynosi dziś 5400 złotych i już szybciutko obliczył, że on żyje za 85,5% tego minimum, a sam przecież jest i zaraz przyszła myśl następna, grzeszna, że jakby nieboszczka żona nie umarła, to by chyba nie poradzili w dwójkę Poszedł jednak zaraz do kościoła przeprosić Boga za owo bluźnierstwo myślowe. Żonie zaś zaniósł świeże kwiaty, choć to nie była niedziela, a czwartek.

Józef Pietruszka nie ma wielkich wymagań. Teraz chciałby tylko, żeby mu telewizor nie wysiadł, bo wtedy już by z tej samotności nie wytrzymał. A tak to sobie jakiś film o życiu obejrzy i lżej mu trochę. Albo, jak się dowie z dziennika, o tragediach strasznych: przeważnie w kapitaliźmie. Wtedy myśli, że może on i nie taki biedak ostatni, jak Murzyni w slumsach mieszkają i nie mają co do pyska włożyć.

*

Za oknem rozlega się jednostajny gong młotka o kawałek metalu. Domokrążny szlifierz noży i nożyczek, z kresowym zaśpiewem, reklamuje swoje usługi. Józef Pietruszka biegnie do kuchni po nożyczki. Jak dobrze wyostrzone, lepiej się nimi tnie „popularne".

Zgodnie z zapowiedzią władz — od 1.I.1983 r. ma nastąpić podwyżka rent i emerytur tzw. starego portfela.

Red.

Ignacy Gogolewski: Polaków cechuje poczucie prowincjonalizmu

Dokończenie ze str. 1

— Wystawiając Witkiewicza w pierwszym za mojej dyrekcji sezonie, nie zyskaliśmy większego zainteresowania; nie dając za wygraną, podchodzimy do Witkacego po raz drugi. Jest to jedna z najlepszych sztuk tego autora. Zrobimy wszystko, aby została wystawiona jak najlepiej, a rezultaty oceni publiczność.

— *Trzeba przyznać, że teatr lubelski starał się zdobyć publiczność w ubiegłym sezonie, reklamując każde przedstawienie dobrymi plakatami, rozwieszanymi po całym mieście w dużych ilościach. Pewnym plusem była także niezwykle staranna oprawa edytorska każdego z programów teatralnych.*

— To dopiero początek naszej akcji reklamowej. Każdy przyjeżdżający do Lublina powinien już po piętnastu minutach obecności zorientować się, że jest w tym mieście teatr, który wystawia takie to a takie sztuki. Ale wiadomo, z jakimi olbrzymimi trudnościami borykają się dzisiaj drukarnie, a w związku z tym i wszyscy ich klienci.

— *Niedawno telewizja przedstawiła program, obrazujący działalność Teatru im. Osterwy w Lublinie. Tytuł tej audycji — „Na prowincji" — skontrastowano z wypowiedziami lubelskich aktorów, którzy stwierdzali, że nie odczuwają prowincjonalności swojego teatru.*

— Ponieważ ja nie czuję się na prowincji będąc w Lublinie, więc i zespół jest również tego samego zdania. Poczucie prowincjonalizmu to w pewnym sensie cecha narodowa Polaków. Ja też wywodzę się z małego miasteczka i wchodziłem w tzw. wielki świat środowisk twórczych z dziesiątkami kompleksów. Dziś, po trzydziestu latach pracy w tym zawodzie, powoli się ich pozbywam, ale to nie znaczy, że pozbyłem się całkowicie. Jeżeli kompleksy dopingują, a nie obezwładniają, to ich eliminacja odbywa się prawidłowo. Nie należy kompleksów pokrywać uniżonością, podejrzliwością czy bezczelnością. Musimy spokojnie obserwować ludzi, którzy mogliby czy też powinni być dla nas wzorem. Jeżeli będziemy uczyć się od nich, a nie zazdrościć, to powoli pozbędziemy się kompleksów. Potrafiłem zespołowi zaproponować dyskusję dotyczącą różnych dziedzin: artystycznej, obyczajowej, organizacyjnej, i mamy różne zdania. Nieliczni tylko, a są tacy, próbują czasem coś zrobić na złość.

— *Używał pan przez cały czas pojęcia prowincjonalizmu w negatywnym znaczeniu tego słowa. Czy nie wydaje się panu, że określenie „prowincjonalny" może nabrać znaczenia pozytywnego, jeśli przeciwstawimy je określeniu wielkomiejski, które niesie ze sobą hałas, nadmierne tempo zmian (uniemożliwiające adaptację), osamotnienie w tłumie, brutalną konkurencję w windowaniu się po szczeblach kariery. „Prowincjonalny" mógłby wtedy znaczyć — spokojny, ułatwiający człowiekowi odnalezienie własnej tożsamości, bardziej bezpośredni, dający poczucie więzi i ciepła, gdy mała liczba ludzi umożliwia większości wzajemne poznanie. I teatr lubelski mógłby wtedy pozostać prowincjonalny.*

— Nie zgodzę się na taką propozycję, gdyż prowincja zawsze kojarzy mi się z amatorszczyzną, a ja staram się w każdej dziedzinie eliminować elementy amatorstwa. Robię to różnymi metodami, czasami w sposób przykry.

— *Czy reforma gospodarcza dotyczy także teatru, który jest przecież przedsiębiorstwem?*

— Od dwóch lat stosuję zasady reformy gospodarczej, nie oglądając się na czyjeś sugestie. Nie wiem, czy pani zauważyła zdziwienie społeczeństwa, że znany aktor wspomina takie miejsca jak kasa. Znawcy sztuki krzywili się, a ja twierdzę, że kasa odzwierciedla zainteresowanie teatrem. Możemy poszczycić się 85-procentową frekwencją i jeśli wziąć pod uwagę, że w całym kraju miliony osób odpłynęło od teatru, jest to frekwencja bardzo wysoka. W 1981 roku nasze dochody wyniosły 3 miliony 600 tysięcy złotych. To oczywiście nie pokrywa pełnych kosztów utrzymania budynku z personelem, ale przecież nie jesteśmy instytucją dochodową, jesteśmy dotowani i te dotacje w zależności od naszych dochodów powinny się zmniejszać lub zwiększać. Na rok 1982 zaplanowaliśmy dochód w wysokości 5 milionów złotych. W skali wielkich manipulacji ekonomicznych to są grosze, ale w skali naszych skromnych przedsięwzięć to są fortuny.

— *W ubiegłym sezonie teatralnym dużą niespodzianką dla widzów było otwarcie małej sceny. Czy w tym roku również przygotowuje pan podobną niespodziankę?*

— Największą naszą niespodzianką powinno być uruchomienie klubu związków twórczych „Pod strzechą" (dawnej „Nory"), a jest on dedykowany całemu środowisku artystycznemu Lublina. Powierzono nam przygotowanie i organizację funkcjonowania tego klubu. Chcielibyśmy, aby twórcy mogli się spotkać, porozmawiać przy kawie lub przy kieliszku wina, skorzystać z posiłków, o które w dzisiejszych czasach tak trudno. Pragnęlibyśmy, aby wieczorem można było posłuchać muzyki, poezji, bądź też obejrzeć dobry program kabaretowy. Myślę, że stałe miejsce spotkań dla twórców naszego miasta może w jakimś stopniu przyczynić się do ożywienia środowiska artystycznego.

— *Dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiała: Zofia Zielińska

Uwagi o czasie teraźniejszym

Władysław Kwaśniewicz

„Gazeta Krakowska" zamieściła wypowiedź prof. dr. hab. Władysława Kwaśniewicza, socjologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stanowi ona bardzo osobistą próbę diagnozy stanu naszej społecznej świadomości, a także refleksję na temat stresującego wpływu kryzysu na psychikę jednostki.

„Uczony — pisze „Gazeta Krakowska" — szuka dróg wyjścia. Sam ogarnięty jest wieloma wątpliwościami. Niemniej podpowiada, jakie strefy życia należy szczególnie chronić. Sugeruje też, które emocje odrzucić. Szczególnie dużo miejsca w jego myślach zajmuje młode pokolenie, w tym... dziecko, które też — jak bardzo przekonywająco udowadnia Profesor — ogarnięte jest napięciami politycznymi czemu sprzyja nasza beztroska".

Tekst prof. dr. hab. Władysława Kwaśniewicza postanowiliśmy — po dokonaniu pewnych skrótów — przedrukować na łamach „Kameny", aczkolwiek nie znaczy to, że akceptujemy wszystkie poglądy autora. Bylibyśmy radzi, gdyby nasi Czytelnicy podzielili się z nami swoimi refleksjami na poruszone niżej tematy.

JEŻELI otworzyć nasze gazety codzienne, przejrzeć tygodniki, posłuchać telewizji, to okazuje się, że dziś równie często jak przed 13 grudnia — stawiane jest pytanie: jak zawrzeć porozumienie? [...]

Tam, gdzie konflikty są rozpalone wokół podstawowych wartości, tam też zazwyczaj każda ze stron usiłuje przybrać postawę tego, który „wie lepiej". Ja z tym się wielokrotnie spotykałem, sam się zresztą łapałem na tym, ażeby nie przyjmować postawy „człowieka, który miał rację". Choć za takiego człowieka się naprawdę uważam, bo należałem do tych, którzy przewidywali eksplozję protestu. Oczywiście, myliłem się co do szczegółów przebiegu tego wszystkiego, zasięgu, niemniej wiedziałem z góry, że coś takiego musi nastąpić. I byłem przerażony faktem, że nikt zaangażowany w konflikt nie jest w gruncie rzeczy przygotowany do jego rozwiązania. [...]

•

Muszę tu od razu przyznać, że po raz pierwszy w życiu jestem pesymistą. Nie wiem, czy to przypisać mojej wizji rzeczywistości, czy w ogóle temu, że się człowiek powoli starzeje... Skąd to spojrzenie? Ano, historycznie patrząc, właściwie od trzech stuleci jesteśmy na równi pochyłej, z czego nie chcemy sobie zdać sprawy. Na ogół zwalaliśmy winę za to na nieprzychylny splot czynników zewnętrznych, a środków zaradczych poszukiwaliśmy w tworzeniu jakichś wizji, które miały wzmóc ducha, a nie wzniecać czujność intelektualną, wobec tego wszystkiego, co mogło stanowić środek zaradczy przeciw staczaniu się.

Mój pesymizm polega na tym, że z takiej perspektywy historycznej widzę degradowanie się naszego społeczeństwa. Po wtóre — jest to społeczeństwo, które słabo wyciąga wnioski, marnie się uczy na swoich doświadczeniach. Inaczej mówiąc — z analizy rzeczywistości łatwo wyciąga wnioski, które odpowiadają jego marzeniom, a nie są rezultatem chłodnego namysłu.

Przecież musi przerażać świadomość, że poprzednie kierownictwo nic nie robiło, żeby przynajmniej uchronić siebie, już nie mówiąc o społeczeństwie. I to, w cośmy weszli, było takim jakby... no można to porównać do wpadnięcia z rozmachem w głęboką wodę. A na tej wodzie przystąpiliśmy do kreślenia — skądinąd fascynujących — projektów, zamiast starać się jak najszybciej wydostać na twardy brzeg i spróbować budować domy, zwykłe domy... Niestety, w tych naszych marzeniach jest bardzo mało elementów myślenia realnego. Żebym był dobrze rozumiany... Ja jestem pełen podziwu dla marzycieli. Marzyciele to ta niesłychanie cenna grupa ludzi, potrafiących przełamywać ograniczenia teraźniejszości i dostrzegać coś, czego istnienia inni nawet się nie domyślają. W tym sensie podziwiam utopistów wszelkiego typu. Niemniej, trzeba powiedzieć bardzo jasno, że czym innym jest marzenie jako rodzaj pobożnego życzenia, a czym innym marzenie jako pewien konstrukt intelektualny, w którym zawarte są realne przesłanki, wydobyte z rzeczywistości na drodze namysłu, i w odpowiedni sposób przetworzone w realne programy. Otóż ten typ wizjonerstwa, który bym określił jako wizjonerstwo konstruktywne — u nas istnieje w bardzo małym stopniu. [...]

•

Ja mam jednocześnie poczucie, że są pewne szanse uniknięcia tego, co najgorsze. Ale istnieją równocześnie przesłanki, pozwalające stawiać hipotezy, że nasze społeczeństwo nie jest do końca uformowane. Być może, proces tworzenia się nowoczesnej państwowości po tragicznym wieku XVIII, po 120 latach nieobecności na mapie politycznej świata, nie został jeszcze zakończony? A na dodatek to społeczeństwo jest w głębszym kryzysie ekonomicznym, i kto wie, czy nie w jeszcze głębszym kryzysie moralnym?

Ale nie jest to społeczeństwo, w którym wypaliły się siły witalne. Wola życia jest w nim bardzo wyraźna. Bądź co bądź, mamy w dalszym ciągu, jak na społeczeństwo przemysłowe, stosunkowo wysoki przyrost naturalny. Proszę zwrócić uwagę, że teraz, w tych ciężkich czasach, jest taka ilość ślubów! Że ludzie wykazują mimo piętrzących się trudności zdumiewające, indywidualne inicjatywy w kierunku urządzenia się. Więc nie jest to społeczeństwo przegrane. Rzecz jednak, moim zdaniem, polega na tym, jak do świadomości społecznej wprowadzić pewne treści, które by działały tonizująco, uspokajająco?

Myślę, że zasadniczo są dwie strategie wmontowania do świadomości społecznej czegoś, co jest realistyczne. Pierwsza opiera się na uderzeniu pięścią w stół, na zastraszeniu, na łapaniu za gardło. Druga strategia pozwala działać czasowi, przy równoczesnym wprowadzaniu do życia takich elementów, które powodują wyciszanie się namiętności. Ale jest to proces długotrwały, o skutkach nieprzewidywalnych właściwie do końca. Jest to niezmiernie trudna droga. [...]

•

Dla mnie odcinkiem niesłychanie doniosłym jest sprawa młodzieży. A nawet — powiedziałbym jeszcze ważniejszym — dzieci! To, co jest ogromnie charakterystyczne dla młodego pokolenia, polega na tym, że z jednej strony — musi ono zapoznać się z tym, co jest dorobkiem przegranej generacji, a z drugiej strony — ustosunkować się do tego.

Dotyczy to zwłaszcza społeczeństw przemysłowych. W społeczeństwach przemysłowych nie ma bowiem jednej generacji, która byłaby podobna do poprzedniej. Każda nowa generacja, nabywszy w specyficznych dla niej warunkach wiedzę o swoim społeczeństwie, zmierza do nadania tej wiedzy swoistego kształtu ideologicznego. Czasami czyni to w sposób gwałtowny i z niesłychanym uporem. Na przykład łatwo zapomnieliśmy o tym, że tak zwany bunt młodzieży na Zachodzie trwał bodajże od 1956 do 1969 roku. I w moim osobistym przekonaniu jest to — w każdym razie powinno być — przestrogą dla współczesnego świata. Fakt, że ta młodzież z takim uporem przez tyle lat próbowała walczyć o szczytne ideały. Albo rozmiar ruchu na rzecz zakończenia wojny w Wietnamie, jaki ogarnął społeczeństwo amerykańskie, swoją siłę napędową czerpał w ogromnym stopniu z szeregów młodzieży. Albo ostatnie nasilenie się uczestnictw młodzieży w partiach czy też ruchu „zielonych" walczących o ochronę środowiska. Młodzież w skali światowej najbardziej czuje zagrożenie egzystencji, ponieważ najwięcej ma do stracenia.

Tak więc jest rzeczą zupełnie normalną, że młodzież, zdobywając swoją podmiotowość, wytwarzając właściwe swojemu pokoleniu typy osobowościowe, musi być krytyczna. Fatalne było u nas zawsze to, że usiłowano stworzyć pozory, iż młodzież jest grzeczna i ugłaskana...

Inaczej natomiast sprawa przedstawia się z tą częścią młodego pokolenia, która jest jeszcze w wieku dziecięcym. Tam ten moment krytycyzmu wydaje się być słabo jeszcze wykształcony. Niemniej jest to okres życia człowieka, w którym organizm jest najbardziej chłonny. Otóż mnie się osobiście wydaje, że z chwilą wejścia w kryzys załamało się przekonanie, iż najmłodsze pokolenie powinno być chronione przed tym, co rozdziera pokolenie dorosłe. Oczywiście, łatwo jest powiedzieć: chronione, bo jak tu chronić, kiedy wszystko przemawia językiem polityki, kiedy żyjemy w ciasnocie i marne są możliwości odseparowania dziecka od spraw ludzi dorosłych i stworzenia mu przestrzennych warunków do budowania własnego świata. Niemniej wydaje się, że coś koniecznie trzeba tu zrobić. Że za wiele o tych sprawach mówi się przy dzieciach. O ile pewne sprawy (na przykład natury erotycznej, czy ekonomicznej, ile tato zarabia itp.) są TABU, nie porusza się ich przy dziecku — to do tych tematów nie należy polityka.

Otóż rodzice muszą sobie uświadomić — że te małe umysły, tak chłonne, nie są w stanie pojąć całej złożoności zjawisk, z którymi dorośli sobie nie radzą, że sposób pojmowania ich przez dziecko może dać opaczne skutki, które przeciwko tym rodzicom się obrócą w niedalekiej przyszłości. Naturalnie, że nie jesteśmy w stanie odciąć tego najmłodszego pokolenia od jakiś refleksów istniejącej sytuacji politycznej, bo dzieci są dociekliwe i łakną wiedzy o otaczającym je świecie. Ale przynajmniej tam, gdzie jest to możliwe, chrońmy je. Chrońmy dzieci przed napięciem. [...]

•

Naturalnie poziom tych napięć w naszym społeczeństwie jest nierówny. Byłem ostatnio ze studentami na praktyce wiejskiej i muszę powiedzieć, że tam życie niewiele się zmieniło. Napięcia szczególnie ostro kształtują się w wielkich ośrodkach miejskich, bądź przemysłowych. Tam, gdzie towarzyszy temu inteligencja, nabierają one czasem dramatycznego wyrazu. Czym to się może skończyć?... Otóż poza tymi dwiema drogami, o których mówiłem, jest jeszcze trzecia możliwość: mianowicie samoczynnego wygaśnięcia napięć. Może się bowiem po prostu pojawić znużenie, zmęczenie, apatia. I z tym również mogą wiązać się pewne zagrożenia. Mianowicie takiemu wyciszeniu się napięć towarzyszy bardzo często poczucie zabojętnienia, rezygnacji, nihilizmu...

I znowu wracam do sprawy młodzieży. Ta młodzież nie ma żadnych sukcesów. Sierpień był robiony w ogromnym stopniu przez ludzi reprezentujących starsze odłamy młodej generacji. One mają poczucie przegranej szansy, klęski... Jeżeli by to szło w tym kierunku, to ci, którzy niebawem wejdą w najlepszy okres swego życia, będą przeżywali go w nastroju zobojętnienia, apatii, co zresztą pogłębi tylko taką cechę społeczeństw przemysłowych, jaką jest dążenie przede wszystkim do zabezpieczenia własnego indywidualnego interesu. I tak będzie, dopóki nie nadejdzie nowa generacja i nie będzie starała się wycisnąć swego piętna na rzeczywistości społecznej. Stąd też dla mnie wynika bardzo oczywisty wniosek, że trzeba temu wychodzić naprzeciw i za wszelką cenę kontynuować realizację tego wszystkiego, co w Sierpniu było zdrowe. [...]

Tymczasem my mamy w tej chwili jakieś poczucie, jakby to wszystko się zatrzymało. Do wyobraźni nie przemawia nam fakt, że opanowano jakoś rynek i że system kartkowy jakoś, ku zdumieniu wielu, działa. Że ta złotówka, aczkolwiek nisko notowana, jednak funkcjonuje jako środek płatniczy. Otóż są tu potrzebne pewne kroki, które by społeczeństwu pokazały, że się idzie naprzód. Że te idee, o które chodziło w Sierpniu, zaczyna się w praktyce naszego życia publicznego wdrażać. Czyli patrząc na nasze społeczeństwo, widzimy, że jest ono z jednej strony — wielkim kotłowiskiem żywiołowych procesów, z których nie wiadomo, co się może wykluć jeszcze, a z drugiej — że istnieje szansa uruchomienia w tym społeczeństwie sił, które by działały w kierunku stabilizowania, uspokojenia nastrojów. Ale nie za cenę rezygnacji. Stąd też taka szalona rola polityków, którzy byliby zdolni nasycić nasze życie treściami, które prędzej czy później (miejmy nadzieję, że prędzej) dadzą społeczeństwu poczucie tego, że coś się zmienia na lepsze.

•

Pamiętać też trzeba, że na tle różnych procesów w społeczeństwach przemysłowych ukształtowała się sytuacja, wśród której odczuwa się niedostatek autorytetów moralnych. Patrzymy na wybitne postacie życia politycznego po II wojnie światowej. Można by policzyć na palcach jednej ręki takie, które kandydują do pomników. W tym sensie liczenie na to, że nagle pojawi się jakiś autorytet, wyrośnie jakaś wielka indywidualność — jest po prostu czekaniem na Godota.

Na tym tle sprawą ogromnej wagi jest ponowne przyjrzenie się wszystkim porozumieniom, które zostały zawarte, i jasne powiedzenie społeczeństwu, które z nich są realne w danych warunkach gospodarczych i politycznych, a które — wymuszone sytuacją — muszą jeszcze zaczekać czy w ogóle być odrzucone. I w ślad za tym muszą iść dostrzegalne gołym okiem posunięcia. Posunięcia, które szaremu człowiekowi dadzą poczucie, że coś się zmienia na lepsze. Które stworzą perspektywę.

Wspomniałem już o tym, że jedną z takich naturalnych reakcji na brak perspektyw jest zobojętnienie. Ja to obserwuję wśród moich kolegów socjologów, i tak samo na samym sobie. W naszej socjologii, która ma kapitalne osiągnięcia empiryczne, gdzieś od połowy lat siedemdziesiątych zaznaczyła się wśród młodego pokolenia wyraźna postawa ucieczki od zajmowania się tym, co się w Polsce dzieje. Ciężar zainteresowań przesunął się w kierunku zagadnień teoretycznych. Stwarzało to pozór, że nie ma się obowiązku wypowiadania o sprawach aktualnych. Trudno mi się nie zgodzić z tymi z moich kolegów, którzy uważali, że jest to ucieczka od rzeczywistości. Gdy dzisiaj z nimi rozmawiam na temat, czym oni się zajmują, to okazuje się, że wielu z nich odchodzi od swych dotychczasowych zainteresowań. Przyznam nawet, że osobiście chciałbym wrócić do pielęgnowanych jeszcze od czasów moich studenckich zainteresowań kulturą Eskimosów (jakkolwiek nawet na dnie tak sformułowanego tematu też się kryje polityka, ponieważ Eskimosi grenladzcy stali się problemem politycznym dotyczącym nie tylko Danii). Taka ucieczka jest tylko złudzeniem, ale zarazem czymś bardzo wskaźnikowym. Pokazuje mianowicie nastroje. To narastające zmęczenie, zmęczenie, które bardzo łatwo zmienia się w zniechęcenie...

•

Czym się ratuję osobiście? Otóż uważam przede wszystkim, że jest wspaniałą rzeczą pracować z młodzieżą. Pod pewnymi warunkami. Pierwszy to taki, że młodzież trzeba kochać, bez względu na to, czy jest się przez młodzież kochanym. Dlatego, że młodzież przy swoich wspaniałych zaletach potrafi być czasem także okrutna i prawdziwy nauczyciel wie o tym. W związku z tym traktuje to jako jeden z kosztów własnych przyjemności obcowania z młodzieżą. Po drugie — młodzież nasza dzisiaj jest w pewnym sensie tą częścią społeczeństwa, która najwięcej płaci. [...]

Młodzieży trzeba mówić całą prawdę. Pytanie, czy młodzież chce znać prawdę? Jestem jednak zdecydowanie przeciwny schlebianiu młodzieży. Jestem zwłaszcza przeciwko temu rodzajowi pochlebstwa, które polega na mówieniu młodzieży tylko tej prawdy, której chce słuchać.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że młodzież ma ogromne trudności z wyrobieniem sobie stosunku do tego, co się dzieje, i na tym tle jest tak podatna na różne tendencje i wpływy. Niemniej ta młodzież jest o krok przed usamodzielnieniem się. Mam tu zwłaszcza na myśli studentów, którzy kończą studia i wejdą niebawem w życie dorosłych. I zaczną decydować. Siłą rzeczy wiele ekstremalnych cech widzenia rzeczywistości, które u tej młodzieży w sposób naturalny występują, po prostu odpadnie. Takie jest prawo życia. A zatem zamiast pytania: jaka jest młodzież, raczej zastanawiam się, co z młodzieżą trzeba robić? Ta moja jedna z podstawowych diagnoz polega na tym, że trzeba jej mówić prawdę. A po wtóre trzeba zachować cierpliwość. Na młodzież nie można się obrażać.

Po trzecie wreszcie nauczyciel musi być — jak mówi Tadeusz Kotarbiński — spolegliwy. Musi być młodzieży wierny, także w trudnych chwilach. A taka chwila właśnie jest dzisiaj. Wystarczy więc po prostu czasami być wśród młodzieży, po prostu być z nią.

Z fasad znikaia dekoracje '54 (2)

Mieczysław Kurzątkowski

RENOWACJA Starego Miasta w ramach przygotowań do obchodów X-lecia PKWN jest przypadkiem szczególnym w historii ochrony zabytków w Polsce. Jej podjęcie nie było umotywowane względami konserwatorskimi, a stosowna decyzja zapadła bez udziału konserwatorów. Projektowanie i realizacja odbywały się z pominięciem ustawowych uprawnień wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Prace na Starym Mieście zostały niejako wymuszone programem jubileuszu. Zawierał on dwa podstawowe punkty: otwarcie Centralnej Wystawy Rolniczej 21 lipca oraz, nazajutrz, defiladę wojskową i pochód Miejscem wystawy był zamek i Podzamcze, trasa defilady odpowiadała kierunkowi wkraczania do Lublina wojsk radzieckich i polskich, a zatem przebiegała ulicami: Lubartowską, Rady Delegatów i Krakowskim Przedmieściem. Znalazłszy się między tą trasą a wystawą, Stare Miasto wymagało odpowiedniego przygotowania. Dodatkowym uzasadnieniem był fakt, że z okazji wystawy, trwającej do późnej jesieni, Lublin miał być odwiedzany przez liczne wycieczki z całego kraju oraz przez personel placówek dyplomatycznych.

Nieuzasadnione względami ochrony zabytków, prace na Starym Mieście były jednak odbierane jako przedsięwzięcie konserwatorskie. Stanowiły jedyną wówczas szansę przynajmniej częściowego wydobycia tej dzielnicy z zaniedbania. Wyrażały też postawę wobec zewnętrznego wystroju zabytków, jaka spotkała się z akceptacją podczas wskrzeszania warszawskiej Starówki, ukończonej przed niespełna rokiem. Dokumentacja dla Lublina była zresztą przygotowywana przez architektów uczestniczących w odbudowie Starówki pod kierunkiem Mieczysława Kuzmy, generalnego projektanta Traktu Starej Warszawy, a zarazem zastępcy konserwatora zabytków stolicy.

Projekty, zarówno architektoniczne jak i plastyczne (sporządzane w PSP), zatwierdzała komisja, w której skład wchodził również i generalny konserwator zabytków. Wojewódzki konserwator był wprawdzie pozbawiony ustawowych uprawnień do decydowania w sprawach dotyczących renowacji, co wynikało z nadzwyczajnego charakteru całego przedsięwzięcia, nie wyłączył się jednak z uczestnictwa. Współdziałał z projektantami, dostarczając im ikonografię; śledził przebieg prac, zabezpieczając odkrywane relikty.

W wypadku murów baszty Żydowskiej, odsłoniętych na trasie drogi budowanej na północnym stoku wzgórza zamkowego, uratowanie ich było możliwe dzięki ryzykownej decyzji pełnomocnika Prezydium WRN, Brunona Wilczewskiego, korygującej bieg wjazdu i umożliwiającej konserwatorowi, Henrykowi Gawareckiemu, natychmiastowe wyremontowanie odkrytych murów. Ryzykownej, bo podjętej wbrew poleceniu Bolesława Bieruta: usunięcia przeszkody mogącej opóźnić roboty. W czasie kolejnej wizytacji Prezydentowi nie pozostawało nic innego, jak zaaprobować fakt dokonany.

Pracom na Starym Mieście i zamku była poświęcona ogólnopolska konferencja wojewódzkich konserwatorów zabytków w Lublinie 29 września 1954 r. W trakcie zapoznawania się z efektami renowacji i podczas obrad dyskutowano na temat szeregu rozwiązań i szczegółów architektonicznych, dekoracji malarskich i sgraffitowych. Nikt nie poddawał jednak w wątpliwość konserwatorskiego charakteru całego przedsięwzięcia. Co więcej, jak stwierdził w zagajeniu obrad generalny konserwator zabytków Jan Zachwatowicz, celem spotkania było „również wyciągnięcie wniosków dla podobnych prac na innych terenach".

W jubileuszowej renowacji znalazły odbicie symptomatyczne dla tamtych lat czynniki, oddziaływujące na praktykę konserwatorską w zespołach zabytkowych. Na wystroju fasad odcisnęła się metoda realizmu socjalistycznego, lansująca plastykę monumentalną i nawołująca do czerpania z narodowego dziedzictwa artystycznego. Przywracanie attyk uznawanych za motyw rodzimy polskiej architektury renesansowej, stosowanie sgraffita uważanego za technikę charakterystyczną dla renesansu, czerpanie treści do kompozycji ściennych z tradycji mieszczaństwa i literatury XVI w. odzwierciedlało kult Odrodzenia i humanizmu. Choć rozwinął się on w wyniku schematycznego wyróżnienia w dziejach epok postępowych, przyczynił się w istocie do wielkiego odkrycia i szerokiego upowszechnienia wartości kultury polskiej od schyłku średniowiecza po początek baroku.

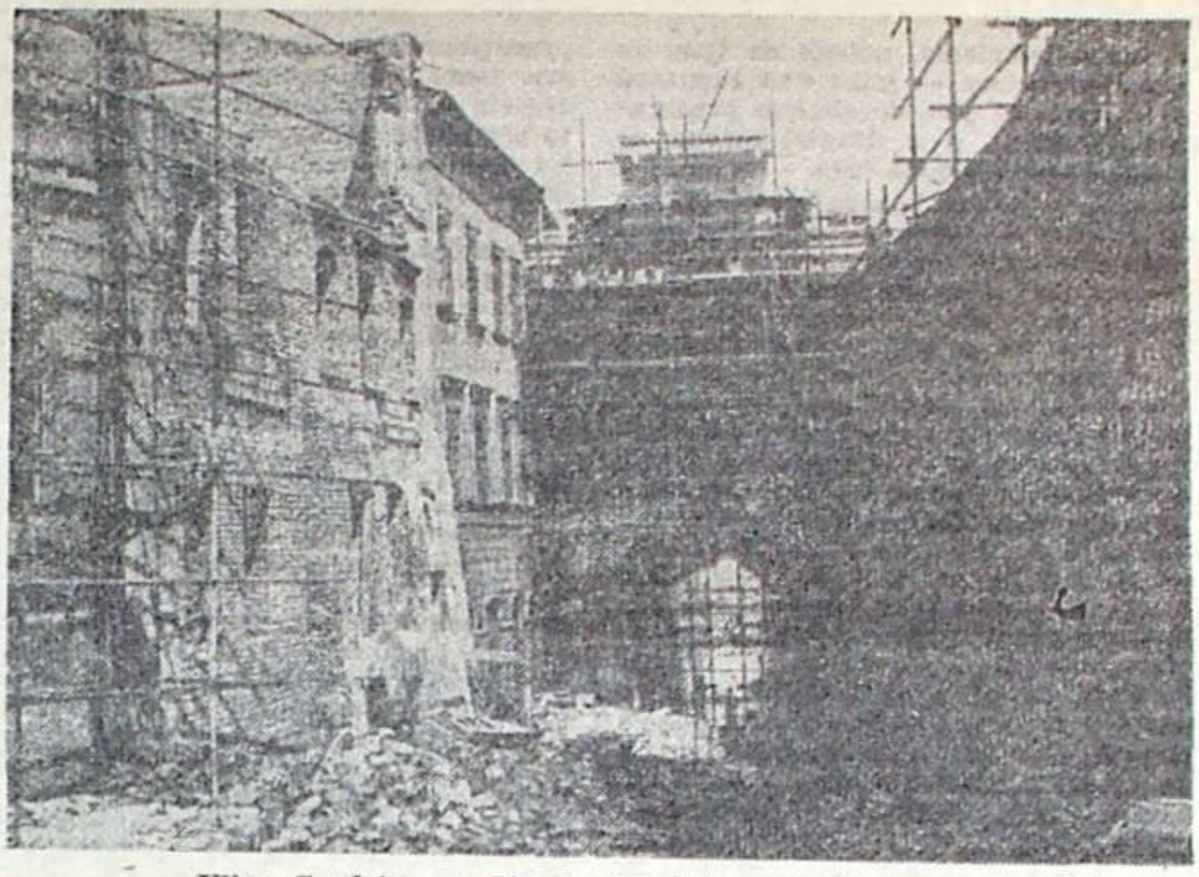

Ulica Grodzka na Starym Mieście w Lublinie — rok 1954.
Fot. Henryk Gawareckl

Nie ulega przecież wątpliwości, że renowacja Starego Miasta w Lublinie została wykonana w sposób sprzeczny z zasadami ochrony zabytków, bowiem w odniesieniu do zachowanych w całości zabytków przyjęto metody stosowane podczas odbudowy poważnie zniszczonych wojną zespołów Poznania, Gdańska, a przede wszystkim Warszawy. Metody akceptowane przez europejskie środowisko konserwatorskie w drodze wyjątku — usprawiedliwionego ogromem szkód i okolicznościami, w jakich zostały wyrządzone. W przypadku lubelskiego Starego Miasta motywacje te nie wchodziły w rachubę. Ponadto zabrakło tu — ze względu na narzucony pośpiech — staranności w poszukiwaniu najwłaściwszej, uzasadnionej przekazami historycznymi formy odtworzeń i rekonstrukcji.

Nie jest łatwe określenie stanu świadomości środowiska konserwatorskiego, który sprawił aprobatę — choć nie bezkrytyczną — postępowania uznanego potem za sprzeczne z zasadami ochrony zabytków. Zrozumienie tego będzie łatwiejsze kiedyś, gdy wyjaśnione zostaną motywy tak masowego i szybkiego akcesu twórców do metody realizmu socjalistycznego, a luminarzy humanistyki — nawet odległych od poglądów lewicowych — do marksistowskiej metody badania zjawisk artystycznych i historycznych. Akceptacja przez środowisko fachowe tego typu renowacji, jak na Starym Mieście w Lublinie, była bowiem odpowiednikiem tych właśnie postaw w sferze ochrony zabytków. Nie należy jednak zapominać, że w ukształtowaniu stosunku konserwatorów do przedsięwzięcia znaczną rolę odegrało urzeczenie efektami odbudowy wspomnianych zespołów staromiejskich; fascynacja wskrzeszeniem czegoś, co mogło wydawać się niepowrotnie utracone; euforia, która przesłaniała bezsilność wobec nabrzmiewającego problemu innych zespołów zabytkowych, niebawem mającego ujawnić się w dramatycznym wymiarze, symbolizowanym „sprawą Nysy".

Rezultaty renowacji lubelskiej w 1954 r. są historycznym dokumentem pewnego etapu w dziejach stosunku do zabytków w Polsce, nawarstwionym na staromiejskich kamienicach. Etapu ważnego nie tylko ze względu na jego materialne efekty i nie tylko dlatego, że w nim właśnie szukać należy genezy nieustannej skłonności do procederu odtwarzania. W tamtych latach nastąpiło upowszechnienie w całym społeczeństwie pojęcia ochrony zabytków. Dotychczas jego znajomość nie była zbyt rozległa. Oddziaływanie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego czy służby konserwatorskiej miało zasięg ograniczony, w niewielkim stopniu wykraczający poza środowiska inteligencji. Dopiero nasilona propaganda wokół prowadzonych pod auspicjami najwyższych władz wielkich akcji odbudowy i renowacji (w tym także lubelskiej) rozwijana w warunkach upowszechnienia prasy i radiofonii oraz różnorodnych form oddziaływania wizualnego, sprawiła, że pojęcie ochrony zabytków dotarło do całego społeczeństwa. Był to również okres, gdy po raz pierwszy odbywały się masowe wycieczki wszystkich środowisk w celu zwiedzania zabytków poddanych pracom konserwatorskim, a każdy z uczestników tych ekskursji miał prawo widzieć w uratowanych obiektach swój własny wkład w postaci składek na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy i Kraju.

Nietrwałość rezultatów renowacji lubelskiej przypisuje się pośpiechowi, z jakim prowadzone były roboty. Można by tym tempem tłumaczyć niekorzystne zmiany zachodzące w malarskich i sgraffitowych dekoracjach ściennych, chociaż i tu należałoby zastanowić się, w jakim stopniu zawinili wykonawcy w 1954 r., a w jakim instytucje odpowiedzialne za bieżące utrzymywanie kamienic w należytym stanie. Ale czy to krótki termin jubileuszowych przygotowań sprawił, że żaden z urządzonych wtedy sklepów, lokali gastronomicznych i zakładów usługowych nie utrzymał ani nadanego im wówczas wysokiego poziomu, ani wyposażenia wnętrz, w którego skład wchodziły m. in stylizowane, solidne sprzęty?! Pytania te powinny skłonić do zastanowienia się, co należy uczynić, by rezultatom obecnej rewaloryzacji zapewnić trwałość w sferze dotyczącej usług oraz wprowadzonego tam nowego wyposażenia i wystroju.

Co by się rzekło, renowacji Starego Miasta z okazji X-lecia PKWN nie można odmawiać trwalszego znaczenia dla Lublina. Dzięki niej nastąpiła integracja centrum z głównym traktem staromiejskim: Bramowa-Rynek-Grodzka. Stało się to za sprawą zarówno odnowienia i przyozdobienia fasad, jak i dzięki nadaniu ulokowanym tu usługom wysokiego standardu (kawiarnia „Pod Czarcią Łapą" w kamienicy Grodzka 2, sklep Cepelii oraz zakład fryzjerski w kamienicy Rynek 6, sklep mięsny Rynek 5, apteka nr 1, bar mleczny). Główny trakt staromiejski zyskał też na znaczeniu dlatego, że przestał prowadzić do więzienia.

W odczuciu masowego odbiorcy „starówkowa" dekoracyjność, wzniesiona przez renowację, uwiarygodniła zabytkowy charakter dzielnicy. Kamienice pozbawione stylowego wystroju, brudne z odpadającymi tynkami, z prymitywnymi lokalami usługowymi, mogły emocjonować tylko znawców zabytków, miłośników historycznych pamiątek i smakoszy zdolnych dostrzec malarski urok w szpetocie zaniedbania. Dzięki renowacji Stare Miasto stało się na kilka lat miejscem chętnie odwiedzanym dla przyjemności. Konserwatorskie potknięcia i nieprawidłowości nawet ludziom w pełni ich świadomym nie mąciły ogólnie sympatycznego wrażenia. Wyraźnie wzrosła też turystyczna atrakcyjność Lublina. Właśnie od tego czasu znalazł się on wśród miejscowości należących do stałego repertuaru wycieczek krajowych i zagranicznych.

Kilka najbliższych lat po obchodach X-lecia to, jak dotychczas, najlepszy okres w historii Starego Miasta jako zespołu zabytkowego. Prace konserwatorskie przed II wojną światową w pewnym stopniu spełniły „postulat stylowego piękna architektury" ale nie wprowadziły zmian w sferze usług, nadal pozostających na podrzędnym poziomie. Natomiast co do obecnie prowadzonej rewaloryzacji, po raz pierwszy kompleksowej i metodycznej, to trudno powiedzieć, kiedy stworzy ona na Starym Mieście atmosferę zachęcającą do odwiedzenia i przebywania w jego murach bez praktycznej konieczności.

Przygotowania do obchodów X-lecia PKWN obejmowały różnorodne prace: budowlane, remontowe, adaptacyjne, drogowe, ziemne, ogrodnicze, plastyczne. Razem wzięte, mogą być one uznane za przedsięwzięcie urbanistyczne, gdyż wniosły nową jakość formalną i funkcjonalną na znacznym obszarze śródmieścia. Był to jedyny przypadek w historii Lublina, by w tak krótkim czasie, zaledwie sześciu miesięcy, w jego organizm przestrzenny wpleciono nowy wątek o tak rozległym zakresie. Odcisnęły się na nim, jak na wszelkich poczynaniach architektonicznych, okoliczności sprawcze, które w tym wypadku miały szczególny charakter: dominującą rolę odgrywały wśród nich nie potrzeby rozwoju miasta, lecz motywacje ideologiczne.

W okresie „przyśpieszonej budowy socjalizmu" architektura miała uświetniać proces awansu mas ludowych i wyrażać patos rewolucyjnych przemian. Ta najbardziej monumentalna ze sztuk, dotychczas demonstrująca prestiż feudałów i burżuazji, teraz ujęta w formuły realizmu socjalistycznego miała deklarować swą służebność wobec proletariatu jako klasy sprawującej władzę. Identyczna myśl przyświecała renowacji dawniej elitarnych centrów miast oraz towarzyszyła rekonstrukcji i odnowie zabytkowych dzielnic. Do tych pryncypiów, obowiązujących wówczas we wszystkich krajach obozu socjalistycznego, w Polsce dochodziło szczególne osobiste zainteresowanie działalnością architektoniczną ze strony człowieka sprawującego w państwie funkcje kierownicze Bolesława Bieruta. A w przypadku lubelskim nałożył się jeszcze osobisty sentyment Prezydenta do miasta w którym przeżył 27 lat. Nie można też pominąć skłonności do gigantomanii w sposobie aranżowania uroczystości państwowych i ich scenografii, która implikowała rozległy program robót, narzucający szaleńcze tempo i absorbujący ogromny potencjał wykonawczy z całego kraju.

Jubileuszowe roboty nie doprowadziły do sanacji całego śródmieścia Lublina i nie rozwiązały jego problemów komunalnych. Nie wydobyły też z zaniedbania kamienic Starego Miasta, nie zmodernizowały jego infrastruktury, ani nie usunęły zagrożeń geofizycznych. W tym, czego nie załatwiono w 1954 r., tkwi źródło odmawiania wartości całemu przedsięwzięciu. Tymczasem na codzień bezwiednie stykamy się z jego rezultatami, które zasymilowały się już z organizmem miasta.

EKRAN I WIDZ

Od Sharon do Nastasii

PRZYPADEK sprawił, że w czasie pobytu w Londynie w 1969 r. znalazłem się w domu pana Gutowskiego, przy Eaton Place, w eleganckiej dzielnicy Belgravia. Niedaleko stąd było zarówno do ogrodów królewskiego Buckingham Palace, jak i do Kings Road, która wprawdzie nie pełniła już roli „drogi królewskiej", ale była za to szlakiem uczęszczanym przez ówczesny artystyczny, nonkonformistyczny, kontestatorski i „hippisowski" młody Londyn. Właściciel domu przy Eaton Place był producentem, czy też jednym ze współproducentów, dwóch pierwszych filmów nakręconych przez Romana Polańskiego w Wielkiej Brytanii: „Wstrętu" (1965 r.) i „Matni" (1966 r.). Sam Polański mieszkał również w Belgravii, na jednej z ulic znajdujących się w pobliżu Eaton Place.

Był wówczas u szczytu popularności: jako światowej sławy młody reżyser filmowy, a także jako osoba licząca się towarzysko w kręgach „swinging London". Po nakręceniu w Wielkiej Brytanii kolejnego filmu, o przydługim, ale niewątpliwie trafiającym w gusta tamtejszej publiczności tytule: „Nieustraszeni zabójcy wampirów — Pardon, lecz twoje zęby tkwią w mym karku — Taniec wampirów" (1967 r.), Polański skończył wkrótce swój pierwszy film amerykański, słynny „Rosemary's Baby" (1968 r.). Żonaty był z młodą robiącą karierę aktorką Sharon Tate. Spodziewała się teraz dziecka, mieszkali głównie już w Stanach Zjednoczonych, w willi pod Los Angeles, ale tutaj, w Londynie, dobrze jeszcze pamiętano ślub obojga artystów oraz wielkie zdjęcia w popularnych magazynach ilustrowanych, pokazujące Sharon Tate i Polańskiego, gdy wychodzą z londyńskiego budynku „Playboy Clubu" przy Park Lane, gdzie odbywało się przyjęcie weselne.

O dramatycznej śmierci Sharon Tate, zamordowanej wraz z grupą przyjaciół przez „bandę Mansona", dowiedział się Polański także w Londynie. Rzucił wszystkie sprawy i poleciał do Stanów. Pamiętam ogromne tytuły w gazetach, zdjęcia, pierwsze komentarze i wywiady. Zaczynała się ponura, odrażająca „sprawa Mansona", która przez długi jeszcze czas miała głęboko poruszać światową opinię publiczną.

Nazwisko Polańskiego stało się jeszcze głośniejsze, a „Dziecko Rosemary" — tym bardziej popularne wśród widzów. Ale gorzka to była sława i gorzka popularność. Polański, epatujący dotychczas publiczność mrożącymi krew w żyłach scenami, niesamowitymi historiami niemal z pogranicza szaleństwa — i to jeszcze przedstawianymi nieraz w sposób wręcz groteskowy — sam stał się jedną z ofiar (tyle, że żyjących) ponurego, krwawego dramatu, jakby rodem z niedobrego, sensacyjnego kina. Może właśnie ten osobisty dramat skłonił go do sięgnięcia do Szekspira, do nakręcenia w 1971 r. „Tragedii Makbeta"?

„What?" (1972 r. — we Włoszech), „Chinatown" (1974 r. — w Stanach Zjednoczonych), „Lokator" (1976 r. — we Francji) ... Polańskiego nosiło po świecie, kręcił kolejne, przynoszące mu sławę filmy, ale nigdy nie opuszczało go jakieś nieuchwytne, złe fatum, jakieś tragiczne piętno, którym los naznacza postaci w wymyślanych przez niego scenariuszach. Polański — artysta agresywny, Polański — artysta kontestujący, Polański — twórca szokujący, jako człowiek doświadczany jest bezustannie przez kolejne dramaty, osobiste tragedie, skandale, których nie jest winien. W ostatnich latach, w wyniku zmontowanej przeciw niemu afery typu moralno-obyczajowego, musiał uciekać przed więzieniem, porzucać cały majątek, nielegalnie opuszczać Stany Zjednoczone, gdzie zdobył sławę i pieniądze, chronić się we Francji, walczyć o zachowanie pozycji artystycznej i dobrego imienia. Może ktoś kiedyś napisze książkę zatytułowaną: „Polański jako bohater tragiczny współczesnego kina"?

Powstała w 1979 r. „Tess", nakręcona w oparciu o znaną książkę Thomasa Hardy'ego „Tessa d'Uberville", była zupełnym zaskoczeniem dla znawców twórczości Romana Polańskiego. Film, dedykowany Sharon Tate, powstały w dziesięć lat po jej śmierci, film bardzo łagodny w narracji, bardzo „malarski", odwołujący się do ludzkich uczuć względem istot z natury czystych, delikatnych i bezbronnych, film piętnujący przemoc i gwałt, jakie starają się rządzić światem — wydaje się otwierać nowy rozdział (refleksyjny?) w twórczości Polańskiego. A nawet, jeśli to tylko przejściowa „przygoda" reżysera, po której wróci do swego poprzedniego genre'u, to niewątpliwie „Tess" zaważy jakoś bardzo mocno na tym wszystkim, co teraz będzie Polański tworzył.

To Sharon Tate zwróciła kiedyś uwagę swego męża na możliwości filmowe tkwiące w „Tessie d'Uberville" i — paradoksalne — pamięć o latach tamtego szalonego, swingiem płynącego przez Londyn, Paryż, Nowy Jork życia kazała Polańskiemu nakręcić film pełen skupienia, łagodności i zadumy. Narodziła się też w tym filmie nowa gwiazda kina: młodziutka Nastassia Kinski, zauważona przez Polańskiego jeszcze jako niespełna piętnastoletnia dziewczyna w czasie festiwalu rocka w 1975 r. w Monachium i „wychowana" przez niego właśnie do roli Tess. Nastassia Kinski — tak bardzo odbiegająca aparycyjnie od Sharon Tate. Nastassia Kinski — mająca być jednak może ekranowym ucieleśnieniem tych mitów, tych wspomnień i obrazów, które snujemy — coraz delikatniejsze, coraz bardziej zwiewne — w miarę upływu czasu, jaki nas oddziela od bliskiej osoby, nieobecnej już wśród żywych.

M. D.

Listy do „Kameny"

MIŁOŚĆ CZY BEZECEŃSTWO

Pragnę dorzucić pewną informację do niesłychanie wnikliwego artykułu Ireneusza J. Kamińskiego pt. „Miłość czy bezeceństwo?", który ukazał się w nr. 5 „Kameny".

Otóż w roku 1948 (o ile dobrze pamiętam) jedna z lubelskich spółdzielni, chyba pszczelarska, urządziła w piwnicy z polichromią winiarnię, w której zresztą najwięcej podawano zupełnie dobry miód.

Największą atrakcją pomieszczenia był ogień płonący w kominku, usytuowanym w lewym rogu sali, licząc od wejścia.

Tak, jak rzekłem, atrakcja — stwarzająca specyficzny nastrój i ciepło zachęcające do dłuższego przebywania w winiarni — na pewno nie była obojętna dla osuszenia piwnicy z polichromią, zamkniętej i nie wietrzonej od 1939 roku. Pamiętam, iż musiałem znacznie odsuwać stolik najbliższy kominka, jeśli zgodnie z moim życzeniem dokładano drewna do ognia i robiło się gorąco.

Żadna z niżej położonych piwnic nie była w tym czasie udostępniana publiczności, a jedynie na użytek gospodarczy przeznaczono część wejściową, znajdującą się na poziomie piwnicy z polichromią.

mgr inż. Jerzy Kisyński

Lublin

KOLEGA!

Nawiązując do otrzymanego wycinka Waszego pisma z nr 10 z dnia 28.08. 1982, uprzejmie wyjaśniamy, że Dębickie Zakłady Opon Samochodowych „Stomil" w Dębicy nigdy nie produkowały i nie produkują obecnie opon do Autosanów, Berlietów i Sanosów.

Nie mogły zatem ograniczyć ich dostaw dla PKS Oddział II w Lublinie.

Liczymy, że w przyszłości informacje zamieszczane w Waszym piśmie będą prawdziwe.

Przy okazji informujemy, że opony do w/w marek autobusów produkują PZOS „STOMIL" w Poznaniu i OZOS „STOMIL" w Olsztynie.

mgr inż. Andrzej Tarnowski
Dyrektor

Zatem winny jest kolega.

Red.

„Z NOTATNIKA"

W numerze 12 „Kameny" Redaktor M. A. Jaworski opisuje swoje przeżycia i przemyślenia z pobytu nad jeziorem firlejowskim. M.in. opisuje przypadek z dnia 31 sierpnia, gdy nieczynna była apteka w Firleju.

Ponieważ na podstawie lakonicznej informacji na drzwiach apteki wysuwa się nieprawidłowe sugestie, spieszę donieść, że Urząd Gminy to nie sam Naczelnik, a ponadto w budynku Urzędu siedzibę mają różne instytucje i organizacje jak np.: GRN, Społeczna Komisja Pojednawcza, Kolegium d/s Wykroczeń, ZG OSP itp. i niekoniecznie „wyjście do Urzędu Gminy" związane musi być z osobą Naczelnika. Tak się składa, że akurat kierowniczka apteki nie była przeze mnie wzywana i w dniu tym z nią się nie widziałem. Wyjaśniam natomiast, że Ob. Elżbieta Mazurek jest Radną GRN w Firleju, Członkiem Prezydium i Przewodniczącą Komisji Oświaty, Kultury i Spraw Socjalnych i w dniu tym uczestniczyła w podsumowaniu wyników kontroli przygotowania szkół do rozpoczęcia roku szkolnego. Obowiązujące przepisy prawne nie zabraniają służbie zdrowia być wybieranymi do organów władzy, a ponadto ustalają obowiązek udzielania zwolnień od pracy radnym w celu umożliwienia im uczestnictwa w pracach rady.

Reasumując — informacja nie na temat, a swoją drogą Redaktorowi M. A. Jaworskiemu również nie spadłaby korona z głowy, gdyby przespacerował się 100 m do Urzędu Gminy i uzyskał wyjaśnienie w nurtującej go sprawie.

I jeszcze jedno — narady, kolegia i posiedzenia nie ja wymyśliłem, a jest to — jak w moim przypadku — jedna z form spełniania funkcji koordynacyjnych. Ładnie bym wyglądał, gdybym za sprawą interesującą ogół biegał do poszczególnych osób, zamiast przekazać to samo na wspólnym spotkaniu!

Ale nic to, dzięki temu wszystkiemu dowiedziałem się m.in., jak wygląda życie seksualne Chińczyków — dobre i to.

Łączę pozdrowienia i zapraszam na drugi rok nad jezioro.

Inż. Adam Chudowolski
Naczelnik Gminy

Za zaproszenie dziękuję. Odwiedzę Naczelnika i chętnie porozmawiam na temat życia seksualnego Chińczyków!

M. A. Jaworski

POCZTA LITERACKA

Wiesław Z. Maciejowice, woj. opolskie. Podoba mi się Pański niepokój, bo dobrze służy wierszom. W niektórych utworach wypowiada Pan zupełnie poprawnie to, co, jak się wydaje, chce Pan powiedzieć. Musi Pan jednak szukać jeszcze właściwych sobie środków poetyckich, aby klarowności wypowiedzi towarzyszyło piękno. Sporo w tych utworach publicystyki.

Proszę za jakiś czas znowu nadesłać nowe wiersze. „Myśli" wydają mi się mniej oryginalne.

Barbara J. Puławy. Podtrzymuję swoją poprzednią opinię, ale pisać nie odradzam.

Marta W. Lublin. Intryga w nowelce wzięta z tak zwanego życia I dobrze. Ono pisze najczęściej ciekawiej niż pisarze. Tylko ta skrótowość „Eksperymentu". Dobra ona jest, ale tu poszła Pani za daleko. Oprócz streszczenia fabułki, choć trochę autorskiego miąższu, aby opowiadanie lepiej smakowało! Myślę, że nie powinna Pani aż tak bardzo przenosić przyzwyczajeń z okresu pisania wierszy do prozy. Wykazuje się Pani ostrością obserwacji. Może coś z tego w przyszłości będzie?

Pokazać angielski przekład nie zaszkodzi, proszę.

Maria P. Hrubieszów. Niektóre liryki świadczą o dużej, dziewczęcej subtelności. Za mało jednak przysłała Pani wierszy, abym mógł powiedzieć coś więcej.

Barbara W. Lublin. Cóż za pośpiech w tych wierszach! Ledwie uchwycona myśl i już dalsza gonitwa za słowem! Radzę wracać do napisanych linijek. Musi Pani znaleźć czas na refleksję treściową, ale i formalną.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 5, tel. 255-36.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36231. Adres redakcji: 20-025 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-32, sekretarz redakcji 218-63, dział publicystyki i literacki 275-36.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1404. V.IX.1982 r. B-4.

czas. 2552/1982/15

Co z „Motorem"? (2)

Kwadrans szczerości Waldemara Wiatra

KAMENA: Czy jesteś zadowolony z gry swoich kolegów i swojej?

WIATER: Nie. Nie gramy jeszcze na poziomie, jakiego oczekują od nas kibice i jakiego my sami oczekujemy.

K: Dlaczego?

W: Zastanawialiśmy się nad tym wielokrotnie. Moim zdaniem, przyczyny leżą w sferze psychicznej.

K: To jest zbyt ogólne określenie.

W: Wychodzimy na boisko spięci, świadomi presji wyniku i oczekiwań. Wówczas, dwie nieudane zagrywki powodują, że człowiek się zniechęca, czasem nawet do końca meczu. Woli, żeby strzelił kolega, żeby on zacentrował, żeby on wziął na siebie ciężar gry. Nie chcę się powtarzać, ale znane są badania psychologiczne, jakim nas poddano...

K: Owszem. Pisaliśmy o nich parokrotnie. Brak w drużynie więzi koleżeńskich, struktur nieformalnych, pozaboiskowych. Czy nie sądzisz, że istnieje związek między tym, że kolegi, którego nie zaprosiłbyś do domu na kawę, również mniej chętnie podajesz piłkę na boisku?

W: Myślę, że bardzo przesadzone są obiegowe wieści, iż piłkarze stosują wyłączanie kogoś z gry, bo mu nie podają piłki, nie grają na niego, żeby go w ten sposób „ukarać". Na boisku często podaje się, nie wiedząc dokładnie komu, zagrywa się, patrząc na kolor koszulki; zwłaszcza przy szybkich podaniach z pierwszej piłki, albo przy uderzeniach na dalszą odległość.

K: Czyli wykluczasz możliwość bojkotu na boisku?

W: Tego nie mogę jednoznacznie powiedzieć. Wiele działań w sytuacjach decyzyjnych, szybkiego wyboru, ma charakter podświadomy... Mogę natomiast mówić o pewnym asekuranctwie. Kiedy nie idzie na boisku dobrze, zawsze większą uwagę przywiązuje się, żeby samemu nie robić błędów, niż naprawiać błędy kolegów. To się w naszej grze zdarza. Każdy woli trzymać swego i za to być rozliczany.

K: Zatem słusznie zarzuca się wam brak woli walki, ambicji, agresywności?

W: Niestety, tego nie widać na boisku. Może inaczej się myśli w czasie meczu, inaczej chce, ale nie widać. I to się liczy.

K: Czy są w drużynie nieporozumienia i konflikty między zawodnikami?

W: Nie ma. Od dłuższego czasu nie było tak dobrej atmosfery. Jako kapitan drużyny i zawodnik starszy wiekiem wyrzucam sobie tylko, że nie potrafię zmobilizować chłopaków do lepszej, skuteczniejszej gry.

K: Starsi zawodnicy są ostatnio pod obstrzałem kibiców...

W: Tak. Zawsze, jak nie idzie, szuka się powodów. Wtedy najłatwiej jest zwalać winę na starszych graczy.

K: Mieliście ostatnio dwa ciężkie dni. Spotkanie z nowym Zarządem Klubu, a potem konferencję prasową.

W: Ściślej mówiąc, dotyczyło to w pierwszym przypadku Waldka Fiuty, Andrzeja Rejmana i mnie, a w drugim — tylko mnie. Ciężkie było zwłaszcza spotkanie z Zarządem. Maglowano nas przez ponad dwie godziny, chcąc się dowiedzieć, dlaczego tak słabo gramy, a my nie mogliśmy powiedzieć nic innego, jak tu, w tej naszej rozmowie. To nie wszystkich zadowala.

K: Wybacz, ale nie ma się czemu dziwić. Co uważasz za podstawowy mankament drużyny?

W: Braki w taktyce. Nie ma konsekwencji w realizowaniu założeń przedmeczowych. Ponadto, niestety, dopiero po przyjściu do klubu Lesława Ćmikiewicza, widzimy, jak duże mamy braki z tego zakresu. Mogę tłumaczyć to tylko tym, że poprzedni trener nie przywiązywał do tego wagi, albo po prostu nie potrafił nas nauczyć.

K: W rozmowie z red. Szwabe dla „Kuriera" Waligóra oburzył się, że trener Ćmikiewicz owe braki zauważył...

W: Zresztą cytując nasze, zawodników, w tej materii opinie. Jeszcze raz podkreślam wyraźnie: wiele zajęć taktycznych prowadzonych obecnie mamy po raz pierwszy. Trener Waligóra nie ma racji ze swoim obrażaniem i twierdzeniem, że taktyki można się nauczyć tylko na boisku oraz że gra w I lidze i Pucharze Lata już powinna wystarczyć. Zresztą widać, czego się nauczyliśmy i on nas.

K: Żeby nie bawić się w magiel, powiedz, na czym polegała myśl taktyczna Waligóry. Konkretnie.

W: Proszę bardzo. Obrona i druga linia miała przydzielonych do pilnowania zawodników. Z reguły takich „plastrów" zakładało się sześć, niezależnie od przeciwnika i jego poziomu. To w destrukcji. W ataku schemat był jeden: piłka do przodu i wio! To było dobre na II ligę, gdzie większość drużyn ma braki techniczne i taktyczne oraz mało zdrowia. W ekstraklasie już to nie wychodziło. Zwłaszcza w drugim sezonie, gdzie już nas dokładnie „przeczytano".

K: Skąd zatem opinia o umiejętnościach taktycznych Bronisława Waligóry?

W: Skutecznie lansowała ją prasa lubelska. Kiedy wygrywaliśmy, pisało się o tryumfie taktyki trenera Waligóry. Jak się przegrywało, można było wyczytać, że plan taktyczny był dobry, tylko źle go realizowała drużyna. A taktyka była jedna i ta sama przez cały czas.

K: Co sądzisz o nowym trenerze?

W: Dał nam odżyć. Nie poniża nas, traktuje jak ludzi. To jest pewna nowość. Mamy pełne zaufanie do jego wiedzy trenerskiej, a ponadto ma on u nas autorytet moralny. Cenimy go za kulturę, takt, zrozumienie. Pamiętamy go również dobrze z boiska, gdzie był wzorem sportowej postawy i piłkarskiej inteligencji.

K: Słyszy się, że jest za miękki. Brak wyników, na jakie wszyscy czekają, może świadczyć o tym, że z wami trzeba inaczej.

W: Z nami już nie można inaczej. Waligóra odchodząc mówił nam w oczy, że zostawia pogorzelisko, spaloną ziemię, że się szybko nie pozbieramy. To się w pewnym sensie sprawdza, ale lepsze czasy muszą przyjść i w to wierzymy.

K: Podobno trener Ćmikiewicz zabrał was ostatnio na... meeting rockowy w ramach „Prezentacji '82"?

W: Owszem. I cóż w tym dziwnego? Jesteśmy młodymi ludźmi, lubimy muzykę rockową, jak tysiące innych młodych ludzi. To, że trener myśli również o naszym życiu pozaboiskowym, świadczy o jego klasie i poziomie jako człowieka. Wybierzemy się być może również na występ Andrzeja Rosiewicza. Mamy w planie „Madame Sans-Gene" w Teatrze im. Osterwy.

K: Wyrazem porządkowania spraw w sekcji piłkarskiej „Motoru" są m. in. ostatnie zmiany w Zarządzie Klubu i kierownictwie sekcji. Czego oczekują od was nowe władze?

W: Zarząd Klubu wyraził votum zaufania dla pracy trenera Ćmikiewicza i programu, jaki sformułował. Jest on jednoznaczny: awans do I ligi. Takie są oczekiwania władz klubu. Takie jest również nasze zadanie i nasz cel.

K: Brzmi to jak deklaracja...

W: Bo to jest deklaracja. Wszyscy wierzymy, że praca przyniesie efekty. Chcemy „dojechać" do końca rundy z możliwie niewielką stratą do lidera, przepracować zimę i na wiosnę pokazać, na co nas stać. Jedno o co chciałbym prosić kibiców, to cierpliwość.

K: Ja cię rozumiem. Ale postarajcie się również tej cierpliwości nie wystawiać na zbyt ciężkie próby.

W: Zrobimy, co się da. I na co nas stać.

K: I o to właśnie chodzi. Przekaż chłopakom najlepsze życzenia od „Kameny". Dziękuję za rozmowę i — mam nadzieję — szczerość.

Rozmawiał: W. P.

PS. Krótko po tej rozmowie „Motor" rozegrał kolejny mecz ligowy z radomską „Bronią". Wynik 1:1, po słabej grze.

Tonie w nędzy nad przepaścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemrewicz od przodu i tyłu".

Słynna z urody Wittowa była Greczynką, poseł i rajfur Stanisława Augusta — Boskamp — wiózł ją ze Stambułu do Warszawy jako wielki specjał, bo była patentowaną dziewicą. Tymczasem nie król użył, a młody de Witt, syn komendanta Kamieńca, który się z nią ożenił. Zofia puściła go później kantem dla Szczęsnego Potockiego, którego zresztą zdradziła z jego własnym synem. Dla dogodzenia jej Szczęsny skleił Zofiówkę i zażywał tyle środków podniecających, że aż od nich umarł. Sama Wittowa umarła z paskudnej choroby wenerycznej.

Teraz była w pełnym rozkwicie swej piękności, cały garnizon kamieniecki bardzo ją sobie chwalił.

W haremie obie panie patrzyły ze współczuciem na baszową trzódkę, iż musi się zadawalniać obsługą jednego chuderlawca. Naczelna żona tonęła w łzach.

— Czego pani chlipie?

— Bo wczoraj porodziłam trzecią córkę.

Basza zadysponował stanowczo syna, a tu — pacł znowu dziewczyna. Ze strachu skłamano mu, ufając, że na razie nie sprawdzi. Biedna matka prosiła polskie damy o niewyprowadzanie go z błędu. Naturalnie ledwo wyszły z seraju Wittowa łapnęła:

— Winszujemy, śliczna pana nowa córeczka...

Basza wpadł w furię, a potem do pokoju żony; — na złość mi robisz! wrzasnął i palnął ją w ucho. Z alteracji żona wyzionęła ducha, basza zmarkotniał na całe pół dnia.

— No, jakież są te Turczynki! — pytał Niemcewicz.

— Ecce, grube, białe, miękkie kluchy, odparła księżna Izabella. Nie macie czego żałować... szkaradne babska...

Znając kobiecą obiektywność w ocenianiu cudzej urody, mężczyźni utwierdzili się w mniemaniu, że należy bardzo żałować.

Z Chocima ruszono na Ukrainę; pola Cecorskie natchnęły Niemcewicza, skomponował na kulbace doskonałą dumę o hetmanie Żółkiewskim, w 27 lat później włączył ją do swych Śpiewów historycznych.

Znowu Tulczyn. Książę Adam był w takiej przyjaźni i tak pod urokiem Szczęsnego, że przyoblekł cały swój dwór w mundury przyjacielskie wojewody ruskiego. I Niemcewicz nosił barwy szczęsnowe!

Zawadzili potem o Białącerkiew. Hetman Branicki, pogromca Barszczan, nie umiał — jak wszyscy zresztą wówczas Polacy — ani słowa po

rosyjsku, co mu nie przeszkadzało głośno wołać w Petersburgu: „— Je suis Russe!" Mąż potiomkino-katarzynowego bękarta był największym pijakiem, burdą i draniem w Polsce; od 20 lat co dzień kończył obiad pod stołem. Gdy wesół — to wulgarny, gdy uprzejmy — to płaski pochlebca, nie tyle wymowny co krzykliwy. Niemcewicz patrzał z niesmakiem jak Branicki przy stole grzmocił po pysku swych rezydentów, a po chwili beczące ściskał i całował.

Książę Adam delektował się towarzystwem hetmana, Niemcewicz skoczył na dwa dni do Kijowa; ruiny Złotej Bramy wprawiły go w wielki zachwyt, a Ławra w wielką złość, bo brudne popy, co mu pokazały zeschły szkielet światowo Golinducha, Efpidyfora, Priskyłły, Agafoniki czy innej Akaki — wyciągały łapę po datek.

W rzymskich katakumbach są więksi święci i tańsi! — mruczał oburzony.

Branicki wtajemniczał Czartoryskiego w zamiary polityczne opozycji: "Katarzyna przemyśliwuje o wojnie z Turcją, daje do zrozumienia, że łaskawie i Polskę przyjmie w roli skromnego sojusznika. Stanisław August promienieje — z posłusznego pieska awansuje na pomocnika swej pani. Już jego fagasy szerzą mnóstwo argumentów za wdaniem się w wojnę: Polska wyjdzie z marazmu, wyszkoli armię, zaczną się z nią liczyć, zyski terytorialne, wdzięczność Rosji... Potockiemu, Branickiemu — wiernym podnóżkom najcnotliwszej imperatorowej — ani w głowie było prze-

ciwić się jej w czymkolwiek, ale królowi mogli i uważali za swój magnacki punkt honoru.

— Nic Polska nie skorzysta, huczeli, brać się do poważniejszej rzeczy, nie do wojny!

Szczęsny przekładał cichcem w Petersburgu, iż Rzeczpospolita tu niepotrzebna, bo na szlaku do Turcji leży nie Polska, lecz jego prywatne dobra. Przez nie szłyby rosyjskie wojska, z nich aprowizacja, na nich magazyny — a on wszystkiemu przychylny, we wszystkim usłużny. Jako sojusznik on — Potocki — będzie pożyteczniejszy niż ten marny Poniatowski.

Książę Adam bystrością polityczną nigdy nie grzeszył, nie orientował się zupełnie w całej sprawie, lecz wystarczało, iż Stanisław August jest za wojną, by on był jej stanowczo przeciwny. Wróciwszy jesienią do Puław, radził Niemcewiczowi napisał coś w duchu protestu.

W dwa miesiące skleił Niemcewicz pierwszy swój utwór sceniczny: długie dramaciskо: „Władysław pod Warną". Przypomniał, jak to Polacy rzucili się ogniś bez żadnej racji na spokojnych, poczciwych Turczynów i jak za karę ponieśli sromotną klęskę.

Temat dramidła był sprytnie dobrany, ale forma klasyczna i nieprzebrany zasób cnót bohaterów czyniły go nudnym do mdłości. [...]

CDN